



Uuk Quality Books

Stanisław Lem

KONGRES

FUTUROLOGICZNY

Ze wspomnień Ijona Tichego

Data wydania: 1983

Ósmy Światowy Kongres Futurologiczny odbył się w Costaricanie. Prawdę mówiąc, nie pojechałbym, do Nounas, gdyby nie profesor Tarantoga, który dał mi do zrozumienia, że tego się po mnie oczekuje. Powiedział też (co mnie dotknęło), że astronautyka jest dziś formą ucieczki od spraw ziemskich. Każdy, kto ma ich dość, wyrusza w Galaktykę, licząc na to, że najgorsze stanie się pod jego nieobecność. Prawdą jest, że nieraz, zwłaszcza w dawniejszych podróżach, wracałem z lękiem, wypatrując przez okno Ziemi — czy nie przypomina upieczonego kartofla. Toteż zbytnio się nie opierałem, a jedynie zauważyłem, że się na futurologii nie znam. Tarantoga odparł, że na ogół nikt nie zna się na pompowaniu, a jednak spieszymy na stanowiska, usłyszawszy okrzyk „do pomp!”.

Zarząd Towarzystwa Futurologicznego wybrał Costaricanę na miejsce obrad, ponieważ były poświęcone potopowi ludnościowemu i środkom jego zwalczania. Costaricana ma obecnie najwyższą stopę przyrostu demograficznego na świecie; pod presją takiej rzeczywistości mieliśmy skuteczniej obradować. Co prawda — ale tak mówili tylko złośliwcy — nowy hotel, jaki zbudowała korporacja Hiltona w Nounas, świecił pustkami, a na zjazd miało przybyć oprócz futurologów — drugie tyle dziennikarzy. Ponieważ w toku obrad nie zostało z tego hotelu nic, mogę, nie bojąc się pomówień o reklamiarstwo, ze spokojnym sumieniem orzec, że był to Hilton znakomity. W moich ustach słowa te mają szczególną wagę, jestem bowiem sybarytą z urodzenia i tylko poczucie obowiązku skłaniało mnie do rezygnowania z wygod na rzecz astronautycznej mordegi.

Costaricański Hilton wystrzelał na sto sześć pięter z płaskiego, czteropiętrowego cokołu. Na dachach niskiej części zabudowań mieściły się korty tenisowe, pływalnie, solaria, tory wyścigów gokartowych, karuzele, które były zarazem ruletkami, strzelnica (można tam było strzelać do wypchanych osób, do kogo dusza zapragnęła — zamówienia specjalne realizowano w dwadzieścia cztery godziny) oraz muszla koncertowa z instalacją do natryskiwania słuchaczy gazem łzawiącym. Dostał mi się apartament na setnym piętrze, z którego mogłem oglądać tylko górną powierzchnię sinobrunatnej chmury smogu, spowijającej miasto. Niektóre z urządzeń hotelowych zastanowiły mnie, na przykład trzymetrowy żelazny drąg stojący w kącie jaspisowej łazienki, pomalowana barwami ochronnymi peleryna maskująca w szafie czy worek z sucharami pod łóżkiem. W łazience wisiał, obok ręczników, gruby zwój typowej liny wysokogórskiej, a na drzwiach, gdym po raz pierwszy wetknął klucz do zamku Yale, zauważyłem małą tabliczkę z napisem „Dyrekcja Hiltona gwarantuje brak BOMB w tym pomieszczeniu”.

Jak wiadomo, uczeni dzielą się dziś na stacjonarnych i jeżdżących. Stacjonarni po staremu prowadzą różne badania, jeżdżący zaś uczestniczą we wszechmożliwych konferencjach i kongresach międzynarodowych. Uczonego tej drugiej grupy łatwo rozpoznać: w klapie nosi zawsze małą wizytówkę z własnym nazwiskiem i stopniem naukowym, w kieszeni — rozkłady jazdy linii lotniczych, podpasuje się ściągaczem bez części metalowych, a także jego teczka zamyka się na plastikowy zatrzask — wszystko, aby nie uruchamiać niepotrzebnie alarmowej syreny urządzenia, które na lotnisku prześwieśla podróżnych i wykrywa broń sieczną oraz palną. Uczony taki fachową literaturę studiuje w autobusach linii lotniczych, w poczekalniach, w samolotach i w hotelowych barach. Nie znając, dla zrozumiałych przyczyn, wielu osobliwości ziemskiej kultury lat ostatnich, wywołałem w Bangkoku, w Atenach i w samej Costaricanie alarmy na lotnisku, czemu nie mogłem zapobiec w porę, ponieważ mam sześć metalowych plomb (z amalgamatu). Zamierzałem zmienić je na porcelanowe w samym Nounas, lecz udaremniły to niespodziewane wypadki. Co do sznura, drąga, sucharów i peleryny, jeden z członków amerykańskiej delegacji futurologicznej wyjaśnił mi pobłaźliwie, że hotelarstwo naszej doby przedsięwzięrze nie znane dawniej środki ostrożności. Każdy taki przedmiot, umieszczony w apartamencie, powiększa przeżywalność gości hotelowych. Słowom tym nie poświęciłem, przez lekkomyślność, właściwej uwagi.

Obrady miały się rozpocząć po południu pierwszego dnia, a już rankiem dostarczono nam komplety materiałów konferencyjnych, wydanych elegancko, w pięknej szacie graficznej, z licznymi eksponatami. Zwłaszcza ładnie prezentowały się bloczki z satynowanego błękitnego papieru, opatrzone nadrukiem „Przepustki kopulacyjne”. Nowoczesne konferencje naukowe też cierpią od demograficznej eksplozji. Ponieważ liczba futurologów rośnie w tej samej potęgze, w jakiej się zwiększa cała ludzkość, na zjazdach panuje tłok i pośpiech. O wygłaszaniu referatów nie ma mowy; trzeba się zapoznać z nimi wcześniej. Z rana zaś nie było na to czasu, ponieważ gospodarze podejmowali nas lampką wina. Ta mała uroczystość odbyła się niemal bez zakłóceń, jeśli nie brać pod uwagę obrzucenia zgniłymi pomidorami delegacji Stanów Zjednoczonych; już z kieliszkiem w ręku dowiedziałem się od Jima Stantora, znajomego dziennikarza z United Press International, że o świcie porwano konsula i trzeciego attache ambasady amerykańskiej w Costaricanie. Porywacze-ekstremiści żądali w zamian za zwolnienie dyplomatów wypuszczenia więźniów politycznych, aby zaś podkreślić wagę swych żądań, posyłali na razie ambasadzie oraz czynnikom rządowym pojedyncze zęby owych zakładników, zapowiadając eskalację. Dysonans

ten nie zakłócił jednak ciepłej atmosfery rannego koktajlu. Bawił na nim osobiście ambasador USA i wygłosił króciutkie przemówienie o potrzebie współpracy międzynarodowej, tyle że mówił otoczony przez sześciu barczystych cywilów, którzy trzymali nas na muszce. Wyznaję, że byłem tym nieco zdetonowany, zwłaszcza, że stojący obok mnie ciemnoskóry delegat Indii ze względu na katar chciał sobie wytrzeć nos i sięgnął po chusteczkę do kieszeni. Rzecznik prasowy Towarzystwa Futurologicznego zapewniał mnie potem, że zastosowane środki były konieczne i humanitarne. Obstawa dysponuje wyłącznie bronią o dużym kalibrze z małą siłą przebijającą, tak samo jak strażnicy na pokładzie samolotów pasażerskich, dzięki czemu nikt postronny nie może być poszkodowany, w przeciwieństwie do dawnych dni, kiedy się zdarzało, że pocisk, kładąc trupem zamachowca, przechodził na wylot przez pięć albo i sześć siedzących za nim Bogu ducha winnych osób. Niemniej widok człowieka walącego się u waszych stóp pod skoncentrowanym ogniem nie należy do miłych, i to nawet wówczas, gdy idzie o zwyczajne nieporozumienie, które potem jest przyczyną wymiany dyplomatycznych not z przeprosinami.

Ale zamiast wdawać się w rozważania z zakresu humanitarnej balistyki, powinienem był wyjaśnić, czemu nie mogłem się zapoznać w ciągu całego dnia z materiałami konferencji. Pomijając już ten przykry szczegół, że przyszło mi pospiesznie zmieniać zakrwawioną koszulę, wbrew swoim zwyczajom jadłem śniadanie w barze hotelowym. Rano jem zawsze jajka na miękko, a hotel, w którym można by je dostać do łóżka, nie ścięte razem z żółtkiem w obrzydliwy sposób, jeszcze nie został wybudowany. Wiąże się to, naturalnie, z bezustannym wzrostem rozmiarów stołecznych hoteli. Gdy kuchnię oddziela od pokoju odległość półtorej mili, nic nie uratuje żółtka przed ścięciem. O ile wiem, problem ten badali specjaliści Hiltona i doszli do wniosku, że jedynym środkiem zaradczym byłyby specjalne windy poruszające się z naddźwiękową szybkością, jednakże tak zwany „sonic boom” — grzmot wywołany przebicciem bariery dźwięku — w zamkniętej przestrzeni gmachu powodowałby pęknięcie bębenków w uszach. Ewentualnie można żądać, aby automat kuchenny dostarczył surowych jaj, które na waszych oczach na miękko ugotuje w pokoju automat kelnerski, lecz stąd już niedaleko do wożenia się po Hiltonach z kojcem własnych kur. Dlatego właśnie udałem się z rana do baru. Obecnie 95 procent gości hotelowych tworzą uczestnicy wszelakich zjazdów i konferencji. Gość-samotnik, turysta-soliter, bez wizytówki w klapie i teczki wypchanej szpargałami konferencyjnymi, jest rzadki jak perła na pustyni. Oprócz naszej odbywała się akurat w Costaricanie Konferencja Kontestatorów Młodzieżowych ugrupowania „Tygrysów”, Zjazd

Wydawców Literatury Wyzwolonej oraz Towarzystwa Filumenicznego. Zwykle przydziela się takim grupom pokoje na tych samych piętrach, lecz chcąc mnie uhonorować, dyrekcja dała mi apartament na setnym, ponieważ miało własny gaj palmowy, w którym odbywały się koncerty Bacha; orkiestra była żeńska i grając dokonywała zbiorowego strip-tease'u. Na wszystkim tym raczej mi nie zależało, lecz nie było, niestety, żadnego wolnego pokoju, musiałem więc zostać tam, gdzie mnie ulokowano. Ledwo zasiadłem na barowym stolku mego piętra, a już pleczysty sąsiad, brodacz kruczowłosa (mogłem odczytać z jego brody, jak z karty dań, wszystkie posiłki minionego tygodnia), podsunął mi pod nos ciężką, okutą dwururkę, którą miał zawieszoną przez plecy, i zaśmiawszy się rubasznie spytał, jak oceniam jego papieżówkę. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wolałem się do tego nie przyznawać. Najlepszą taktyką w przypadkowych znajomościach — jest milczenie. Jakoż sam wyjawiał mi ochoczo, że dubeltowy sztucer, wyposażony w celownik z laserem, cyngiel schneller oraz ładowarkę, jest bronią na papieża. Gadając bezustannie, wyciągnął z kieszeni złamane zdjęcie, na którym widniał składając się do celu, jaki stanowił manekin w piusce. Osiągnął już, jak twierdził, szczytową formę i wybiera się właśnie do Rzymu, na wielką pielgrzymkę, aby ustrzelić Ojca Świętego pod bazyliką Piotrową. Nie wierzyłem ani jednemu jego słowu, lecz, wciąż paplając, po kolei pokazał mi bilet lotniczy z rezerwacją, mszalnik oraz prospekt pielgrzymki dla amerykańskich katolików, jak również paczkę naboju z rżniętą w krzyż główką. Dla oszczędności nabył bilet tylko w jedną stronę, ponieważ liczył na to, że wzburzeni pątnicy rozedrą go na sztuki. Perspektywa ta zdawała się wprawiać go w doskonały humor. Sądziłem zrazu, że mam do czynienia z wariatem lub zawodowym dynamitardem-ekstremistą, jakich nie brak obecnie, lecz i w tym się omyliłem. Gadając bez przerwy i złącząc wciąż z wysokiego stołka, bo strzelba obsuwała mu się na podłogę, wyjawiał mi, że jest właśnie gorącym, prawowiernym katolikiem, planowana zaś przezeń akcja (zwał ją „akcją P”) będzie z jego strony szczególną ofiarą; chodzi mu o wstrząśnięcie sumieniem ludzkości, a cóż może wstrząsnąć nim lepiej nad czyn tak skrajny? Zrobi to samo, wykładał mi, co podług Pisma Świętego miał zrobić Abraham z Izaakiem, tyle że na odwrót, bo wszak nie syna położy, lecz ojca, i to na dobitkę świętego. Tym samym da dowód najwyższej ofiarności, na jaką może się zdobyć chrześcijanin, bo i ciało wyda na męki, i duszę na potępienie, a wszystko po to, by otworzyć ludzkości oczy. Już to — pomyślałem — zbyt wielu jest amatorów tego otwierania oczu; nie przekonany ową filipiką, poszedłem ratować papieża, to jest powiadomić kogoś o tym planie. Leon Stantor, który mi się napatoczył w barze 77 piętra, nie wysłuchawszy

mnie nawet do końca powiedział, że w podarkach, jakie ofiarowała Hadrianowi XI ostatnia wycieczka wiernych amerykańskich, były dwie zegarówki i beczułka wypełniona — zamiast winem mszalnym — nitrogliceryną; zblazowanie jego pojąłem lepiej, usłyszawszy, że ekstremiści przysłali dopiero co do ambasady nogę, nie wiadomo tylko jeszcze — czyją. Nie dokończył zresztą rozmowy, bo odwołano go do telefonu; podobno na Avenida Romana ktoś się właśnie podpalił ma znak protestu. Na 77 piętrze panowała w barze zupełnie inna atmosfera niż u mnie na górze; było wiele dziewczyn bosych, poubieranych w łańcuszkowe koszulki do pasa, niektóre przy szabli; część z nich miała długie warkocze, przymocowane, zgodnie z najnowszą modą, do breloczka na szyi lub do obróżki wybijanej ćwiekami. Nie jestem pewien, czy były to filumenistki, czy też sekretarki Stowarzyszenia Wyzwolonych Wydawców; sądząc po barwnych fotosach, jakie oglądały, szło raczej o specjalne wydawnictwa. Zjednałem o dziewięć pięter niżej, gdzie zamieszkiwali moi futurologowie, i w kolejnym barze wypilem długiego drinka z Alfonsem Mauvinem z Agence France Press; po raz ostatni spróbowałem ratować papieża, lecz Mauvin opowieść moją przyjął ze stoicyzmem; mruknął tylko, że w ubiegłym miesiącu pewien australijski pątnik strzelał już w Watykanie, ale z zupełnie innych pozycji ideowych. Mauvin liczył na interesujący wywiad dla swej agencji z niejakim Manuelem Pyrhullo, ściganym przez FBI, Súreté, Interpol i szereg innych policji, był on bowiem założycielem usługowej firmy nowego typu: wynajmował się jako ekspert od zamachów środkami wybuchowymi (znano go pospolicie pod pseudonimem „Bombowiec”), szcycąc się nawet swoją bezideowością. Gdy piękna rudowłosa dziewczyna w czymś, co przypominało koronkową koszulę nocną, gęsto podziurawioną seriami broni maszynowej, podeszła do naszego stolika (była to właśnie wysłanniczka ekstremistów, która miała pilotować reportera do ich kwatery głównej), Mauvin, odchodząc, wręczył mi ulotkę reklamową Pyrhulla, z której się dowiedziałem, że najwyższy czas skończyć z wyczynami nieodpowiedzialnych amatorów, niezdolnych odróżnić dynamit od melinitu ani piorunian rtęci od sznura Bickforda; w czasach wysokiej specjalizacji nie robi się niczego na własną rękę, lecz polega na zawodowej etyce i wiedzy sumiennych fachowców; na odwrocie ulotki znajdował się cennik usług z przeliczeniami w walutach najwyżej rozwiniętych krajów świata.

Futurologowie jęli się właśnie schodzić do baru, gdy jeden z nich, profesor Mashkenase, wpadł błady, roztrzęsiony, wołając, że ma zegarową bombę w pokoju; barman, snadź zwyczajny takich rzeczy, automatycznie krzyknął: — Kryć się! — i skoczył pod szynkwias; wnet jednak

detektywi hotelowi wykryli, że jakiś kolega zrobił Mashkenasemu głupi kawał, włożywszy do pudełka po keksach zwyczajny budzik. Wyglądało mi to na Anglika, oni bowiem kochają się w tak zwanych „practical jokes”, lecz puszczono rzecz w niepamięć, bo zjawili się J. Stantor i J.G. Howler, obaj z UPI, przynosząc tekst aide-mémoire rządu USA do rządu Costaricany w sprawie porwanych dyplomatów. Było ono sformułowane zwykłym językiem not dyplomatycznych i ani nogi, ani zębów nie nazywało po imieniu. Jim powiedział mi, że miejscowy rząd może uciec się do środków drastycznych; generał Apollon Diaz, sprawujący władzę, przychylił się do opinii „jastrzębi”, by gwałt odeprzeć gwałtem. Na posiedzeniu (rząd obradował w permanencji) padła propozycja przejścia do kontraktaku — żeby więźniom politycznym, których zwolnienia żądają ekstremiści, wyrwać dwa razy tyle zębów, a ponieważ adres kwatery ekstremistów jest nieznanym, zęby te prześle im się na poste restante. Lotnicze wydanie „New York Times” piórem Sulzbergera apelowało do poczucia rozsądku i wspólnoty gatunkowej człowieka. Stantor powiedział mi w dyskrecji, że rząd zarekwirował pociąg z tajnym materiałem wojskowym, będącym własnością USA, który szedł tranzytem przez terytorium Costaricany do Peru. Jak dotąd ekstremiści nie wpadli na pomysł porwania futurologów, co z ich punktu widzenia nie byłoby głupie, ponieważ aktualnie w Costaricanie było więcej futurologów niż dyplomatów. Stupiętrowy hotel jest atoli organizmem tak ogromnym i tak komfortowo odseparowanym od reszty świata, że wieści z zewnątrz dochodzą doń jakby z drugiej półkuli. Na razie nikt z futurologów nie okazywał paniki: własne biuro podróży Hiltona nie było obleżone przez gości rezerwujących miejsca na samoloty do Stanów czy gdzie indziej. Na drugą wyznaczono oficjalny bankiet otwarcia, a ja nie zdążyłem się jeszcze przebrać w wieczorową piżamę, pojechałem więc do pokoju, a potem z największym pośpiechem zjechałem do Sali Purpurowej na 46 piętrze. W foyer podeszły do mnie dwie czarujące dziewczyny w szarawarach topless, z biustami pomalowanymi w niezapominajki i śnieżyczki, by wręczyć mi lśniący folder. Nie spojrzawszy nań, wszedłem do sali, jeszcze pustawej, i dech mi zaparł widok stołów, nie dlatego, że były suto zastawione, lecz szokujące były formy, w jakich podano wszystkie pasztety, przystawki i zakąski — nawet sałatki stanowiły imitację genitaliów. O złudzeniu optycznym nie było mowy, bo dyskretnie ukryte głośniki nadawały popularny w pewnych kręgach szlagier, zaczynający się od słów: „Tylko głupiec i kanalia lekceważy genitalia, bo najbardziej jest dziś modne reklamować części rodne!”.

Pojawiali się pierwsi bankietowicze, z gęstymi brodami i sumiastymi wąsiskami, zresztą

sami młodzi ludzie, w piżamach albo i bez nich; gdy sześciu kelnerów wniosło tort, widząc tę najbardziej nieprzyzwoitą leguminę świata, nie mogłem już mieć wątpliwości: pomyliłem sale i mimo woli dostałem się na bankiet Wyzwolonej Literatury. Pod pretekstem, że zginęła mi sekretarka, wycofałem się czym prędzej i zjechałem o jedno piętro niżej, aby odetchnąć we właściwym miejscu: Purpurowa Sala (a nie Różowa, do jakiej się dostałem) była już pełna. Rozczarowanie, wywołane skromnością przyjęcia, ukryłem, jak umiałem. Bufet był zimny i stojący; aby utrudnić konsumpcję, wyniesiono z olbrzymiej sali wszystkie krzesła i fotele, tak że wypadało okazać zwykłą w podobnych okolicznościach zręczność, zwłaszcza że do półmisek co istotniejszych zrobił się fatalny tłok. Señor Cuillone, przedstawiciel sekcji costaricańskiej Towarzystwa Futurologicznego, tłumaczył z czarującym uśmiechem, że wszelka luksusowość byłaby nie na miejscu, zważywszy, iż tematem obrad jest między innymi klęska głodu zagrażająca ludzkości. Naturalnie znaleźli się sceptycy, którzy mówili, że Towarzystwu obcięto dotacje i tym jedynie można tłumaczyć tak drastyczne oszczędności. Dziennikarze, zawodowo zmuszeni do abnegacji, kręcili się pośród nas, robiąc małe wywiady z luminarzami prognostyki zagranicznej; zamiast ambasadora USA zjawił się tylko trzeci sekretarz ambasady z masywną obstawą, w smokingu, on jeden, bo kuloodporną kamizelkę trudno schować pod piżamą. Słyszałem, że gości z miasta poddawano w hallu rewizji osobistej i miał się już tam piętrzyć spory stos znalezionej broni. Właściwe obrady wyznaczono dopiero na piątą, było więc dość czasu, by odetchnąć u siebie, toteż pojechałem na setne piętro. Po przesolonych sałatkach odczuwałem silne pragnienie, że jednak bar mojego piętra okupowali twardo kontestatorzy i dynamitardzi ze swoimi dziewczętami, a miałem już dość jednej rozmowy z brodatym papistą (czy antypapistą), zadowolilem się szklanką wody z kranu. Ledwom ją wychylił, zgasło światło w łazience i obu pokojach, telefon zaś, bez względu na to, jaki nakręcałem numer, łączył mnie wciąż tylko z automatem opowiadającym bajkę o Kopciuszku. Chciałem zjechać na dół, lecz i winda nie działała. Słyszałem chóralny śpiew kontestatorów, którzy teraz już strzelali do taktu; miałem nadzieję, że obok. Rzeczy takie trafiają się nawet w pierwszorzędnym hotelach, przez co zresztą nie są mniej irytujące, tym jednak, co mnie najbardziej, zdziwiło, była moja własna reakcja. Humor, raczej podławy od czasu rozmowy z papieskim strzelcem, poprawiał się z każdą sekundą. Przewracając po omacku sprzęty w pokoju, uśmiechałem się wyrozumiale w ciemność, i nawet kolano, do żywego rozbite o walizy, nie zmniejszyło mej życzliwości dla całego świata. Wymacawszy na nocnym stoloczku resztki posiłku, jakiego zażądałem między śniadaniem a



lunchem do pokoju, wetknąłem w krążek masła strzęp papieru, wyrwany z foldera kongresowego, i gdy go zapalił zapałką, uzyskałem kopcającą wprawdzie, ale jednak świeczkę, w której blasku zasiadłem na fotelu, bo miałem wszak jeszcze ponad dwie godziny wolnego czasu, wliczając w to godzinny spacer po schodach (skoro winda była nieczynna). Moja pogoda duchowa przechodziła dalsze fluktuacje i zmiany, którym przyglądałem się z żywym zaciekawieniem. Było mi wesoło, wprost doskonale. Mogłem w lot wyliczyć roje argumentów na rzecz tego właśnie stanu rzeczy, jaki zaszedł. Wydawało mi się najsolennie, że apartament Hiltona, pogrążony w egipskich ciemnościach, pełen swędu i kopcia ogarka maślanego, odcięty od świata, z telefonem opowiadającym bajki, jest jednym z najmilszych miejsc na świecie, jakie można sobie wystawić. Ponadto odczuwałem przemożną chęć głaskania byle kogo po głowie, a przynajmniej uściśnięcia bliźniej ręki z głębokim, pełnym serdeczności zajrzeniem w oczy.

Ucałowałem z dubeltówki najzaciętszego wroga. Masło, roztopiając się, skwiercząc i dymiąc, wciąż gasło; to, że „masło” rymuje się ze „zgasło”, wprawiło mnie w atak śmiechu, chociaż zarazem poparzyłem sobie palce zapałkami, usiłując wciąż od nowa zapalić papierowy knot. Maślana świeczka ledwie pełgała, ja zaś nuciłem półgłosem arie ze starych operetek, nie zważając ani trochę na to, że od swądu krztusiłem się i łzy płynęły mi z piekących oczu po policzkach. Wstając przewróciłem się jak długi, zawadziwszy o walizkę na podłodze, lecz i guz, wielkości jajka, który wyskoczył mi na czole, jedynie polepszył jeszcze mój humor (o ile było to w ogóle możliwe). Zaśmiewałem się, na wpół uduszony śmierzącym dymem, bo i to nie odmieniło ani na jotę mego radosnego uniesienia. Położyłem się na łóżku, nie posłanym od rana, choć minęło dawno południe; o służbie, wykazującej takie niedbalstwo, myślałem jak o własnych dzieciach: oprócz czułych zdrobnień i pieszczotliwych słówek nic nie przychodziło mi na myśl. Błysnęło mi, że nawet gdybym się tu miał zadusić, byłby to najzabawniejszy, najbardziej sympatyczny rodzaj śmierci, jakiego tylko można sobie życzyć. Ta konstatacja była tak dalece sprzeczna z całym moim usposobieniem, że podziała na mnie jak pobudka. W duchu mym doszło do zadziwiającego rozszczepienia. Nadal wypełniała go flegmatyczna jasność, rodzaj uniwersalnej życzliwości dla wszystkiego, co istnieje, ręce zaś miałem tak chciwe pieszczona byle kogo, że w braku osób postronnych jałem się delikatnie gładzić po policzkach i filuternie pociągać za uszy; podałem też wielokrotnie prawą rękę lewej dla wymiany krzepkiego uścisku. Nawet nogi mi drygały do pieszczot. Przy tym wszystkim w głębi mego jestestwa zapaliły się jakby sygnały alarmowe: — Coś jest nie tak! — krzyczał we mnie daleki, słaby głos — uważaj,

Ijonie, bądź czujny, strzeż się! Pogoda ta jest niegodna zaufania! Działaj, nuże! Hejże ha! Naprzód! Nie siedź rozwalony jak jakiś Onassis, zalany łzami od dymu i kopcia, z guzowatym czołem, w powszechnej życzliwości! Ona jest objawem jakowejś czarnej zdrady! — Mimo te głosy palcem nawet nie ruszyłem. Tyle że zaschło mi w gardle.

Zresztą serce waliło mi od dawna, ale tłumaczyłem to sobie zbudzoną zniechęcą wszechmiłością. Poszedłem do łazienki, tak okropnie chciało mi się pić; pomyślałem o przesolonej sałatce z bankietu czy raczej tego stojącego koktajlu, potem zaś na próbę wyobraziłem sobie panów J.W., H.C.M., M.W. i innych moich najgorszych wrogów; stwierdziłem, że oprócz chętki kordialnego uściśnięcia ich dłoni, siarczystego całusa, paru słów bratniej wymiany myśli — nie odczuwam żadnych innych emocji. To już było prawdziwie alarmujące. Z ręką na nikłowej główce kranu, dzierżąc w drugiej pustą szklankę, zamarłem. Powoli natoczyłem wody i wykrzywiając twarz w dziwnym skurczu — widziałem tę walkę własnych rysów w lustrze — wylałem ją.

Woda z kranu. Tak. Od chwili gdy ją wypilem, zaszyły we mnie te zmiany. Coś w niej musiało być! Trucizna? Nie słyszałem jeszcze o takiej, która by... Chociaż zaraz! Jestem wszak stałym abonentem prasy naukowej. Ostatnio w „Science News” pojawiły się notatki o nowych środkach psychotropowych z grupy tak zwanych benignatorów (dobryn), które zniewalają umysł do bezprzedmiotowej radości i pogody. Ależ tak! Miałem tę notatkę przed oczami ducha. Hedonidol, benefaktoryna, empatian, euforasol, felicytol, altruizan, bonokaresyna i cała masa pochodnych! Zarazem przez podstawienia grup hydroksylowych amidowymi syntetyzowano z tychże ciał furyasol, lyssynę, sadystyzynę, flagellinę, agressium, frustrandol, amokolinę oraz wiele jeszcze preparatów rozwścieczających z tak zwanej grupy bijologicznej (nakłaniały bowiem do bicia i znęcania się nad otoczeniem, tak martwym, jak żywym — przy czym prym miały wodzić kopandol i walina).

Te myśli przerwał dźwięk telefonu; jednocześnie zabłysło światło. Głos pracownika recepcji hotelowej uniżenie i solennie przeproszał za awarię, którą już właśnie usunięto. Otwarłem drzwi na korytarz, by przewietrzyć pokój; w hotelu, o ile mogłem się zorientować, panowała cisza; jakiś oczadziały, wciąż jeszcze przepełniony ochotą udzielania benedykcji i pieśczęt, zamknąłem drzwi na zatrask, usiadłem, na środku pokoju i jałem zmagać się z samym sobą. Stan mój z owej chwili jest niezwykle trudny do opisania. Bynajmniej nie myślało mi się tak gładko ani tak jednoznacznie, jak to podaję. Każda krytyczna refleksja była jakby zanurzona

w miodzie, spowijał ją paralizująco jakiś kogel-mogel głupkowatego samozadowolenia, każda ociekała syropem dodatnich uczuć, duch mój zdawał się zapadać w najstodszym z możliwych trzęsawisk, jakby tonął w różanych olejkach i lukrach; siłą zmuszałem się do myślenia o tym, co tylko mi najwstrętniejsze, o brodatym łotrze z przeciwpapieżową dubeltówką, o wyuzdanych wydawcach Wyzwolonej Literatury i ich babilońsko-sodomskiej uczcie, znów o panach W.C., J.C.M., A.K. i wielu innych łotrach i oczajduszach, aby z przerażeniem stwierdzać, że wszystkich miłuję, wszystko wszystkim wybaczam, więcej — natychmiast jak wańki-wstańki wyskakiwały z mych myśli argumenty biorące wszelkie zło i plugastwo w obronę. Potop miłości bliźniego rozsądzał mi czaszkę; szczególnie zaś dolegało, mi to, co najlepiej może określa słowa „parcie ku dobru”. Zamiast o truciznach psychotropowych myślałem łączywie o wdowach i sierotach, jakimi z rozkoszą bym się zaopiekował; odczuwałem rosnące zdumienie, że tak mało poświęcałem im dotychczas uwagi. A biedni, a głodni, a chorzy, a nędznicy, wielki Boże! Złapałem się na tym, że klęczę nad walizką i wyrzucam z niej wszystko na podłogę w poszukiwaniu co porządniejszych rzeczy, by je ofiarować potrzebującym. I znów słabe głosy alarmu rozbrzmiały w mej podświadomości: — Uwaga! Nie daj się otumaniać! Walcz! Tnij! Kop! Ratuj się! — krzyczało coś we mnie słabo, lecz rozpaczliwie. Byłem okrutnie rozdarty. Odczuwałem tak potężny ładunek imperatywu kategorycznego, że muchy bym nie ukrzywdził. Jaka szkoda, myślałem, że w Hiltonie nie ma myszy ani chociaż pajaków; jakże bym je dopieścił, ukochał! Muchy, pluskwy, szczury, komary, wszy, kochane stworzonka, mocny Boże! Przelotnie pobłogosławiłem stół, lampę i własne nogi. Lecz szczątki trzeźwości już mnie nie opuszczały, toteż niezwłocznie palnąłem lewicą prawą, rozdającą błogosławieństwa rękę, aż mnie ból skręcił. To było niezłe! To mogło być, kto wie, zbawienne! Na szczęście parcie ku dobru miało charakter odśrodkowy: innym życzyłem daleko lepiej niż sobie. Na początek dałem sobie parę razy po gębie, aż mi kręgosłup zaskrzypiał, a w oczach stanęły gwiazdy. Dobrze, tylko tak dalej! Kiedy mi twarz zdrętwiała, jąłem się kopać w kostki. Całe szczęście, że miałem buty ciężkie, o cholernie twardej podeszwie. Po kuracji złożonej z wściekłych kopnięć zrobiło mi się na mgnienie lepiej, to jest, gorzej. Ostrożnie próbowałem pomyśleć, jak by to było, gdybym kopnął też pana J.C.A. Nie było to już tak kompletnie niemożliwe. Kostki obu nóg bolały jak wszyscy diabli i chyba dzięki tej automaltretacji zdołałem sobie wyobrazić nawet szturchańca wymierzonego M.W. Nie zważając na dotkliwy ból, kopałem się dalej. Przydatne było wszystko kończaste, zastosowałem tedy widelec, a potem szpilki, które wyciągnąłem z jeszcze nie

używanej koszuli. Nie szło to wszakże prosto, raczej falowało, przez parę minut znów gotów się byłem podpalić dla lepszej sprawy, znów buchnął we mnie gejzer szlachetności wyższej i cnotliwego zapamiętania. Nie miałem atoli wątpliwości: coś było w wodzie z kranu. Prawda!!! Miałem w walizce od dawna wożony, nigdy nie używany środek nasenny, który wprawiał mnie zawsze w ponure i agresywne usposobienie, dlatego właśnie go nie używałem, szczęście, że się go nie pozbył. Łyknąłem tabletkę, przegryzając ją zakopconym masłem (bo od wody stroniłem jak od dzumy), potem wdławiłem z wysiłkiem dwie pastylki kofeinowe, aby przeciwdziałać wpływowi środka nasennego, usiadłem na fotelu i czekałem ze strachem, ale i z miłością bliźniego na wynik walki chemicznej w moim organizmie. Miłość gwałciła mnie wciąż jeszcze, byłem udobruchany jak jeszcze nigdy w życiu. Zdaje się, że chemikalia zła definitywnie zaczęły przewycięzać preparaty dobra; gotów byłem nadal do czynności opiekuńczych, ale już nie bez wyboru. Wolałbym co prawda być na wszelki wypadek ostatnim łotrem, przynajmniej czas jakiś.

Po kwadransie jakby mi przeszło. Wziąłem prysznic, wytarłem się szorstkim ręcznikiem, od czasu do czasu na wszelki wypadek wałąc się po głowie, ot, tak, dla ogólnej profilaktyki, okleiłem plastrami poranione kostki, palce, policzyłem siniaki (doprawdy zbiłem się w toku tych zmagania na kwaśne jabłko), włożyłem świeżą koszulę, ubranie, poprawiłem przed lustrem krawat, obciągnąłem surdut, przed wyjściem dałem sobie pod żebro, dla animuszu, ale i dla kontroli, i wyszedłem w samą porę, bo już dochodziła piąta. Wbrew moim oczekiwaniom w hotelu nie działo się nic niezwykłego. W barze mego piętra, do którego zajrzałem, było niemal pusto; oparta o stół stała papieżówka, dwie pary nóg wystawały spod szynkwasu, jedna była bosa, lecz widoku tego nie trzeba było bezwzględnie interpretować w wyższych kategoriach; paru innych dynamitardów grało w karty pod ścianą, jeden zaś grał na gitarze i śpiewał wiadomy przebój. Na dole, w hallu, było tłoczno od futurologów: właśnie szli na otwarcie obrad, nie opuszczając zresztą Hiltona, ponieważ sala w tym celu wynajęta znajdowała się w niskiej części budynku. Zrazu zdumiało mnie to, ale po zastanowieniu pojąłem, że w takim hotelu żaden gość nie pije wody z kranu; spragnieni sięgają po colę, schweppesa, w ostateczności po sok owocowy, herbatę lub piwo. Także do długich drinków używa się gorzkich wód mineralnych czy innych butelkowanych; a jeśli nawet ktoś przez nieostrość powtórzył mój błąd, wił się teraz zapewne w czterech ścianach zamkniętego na klucz apartamentu, w skurczach wszechmiłostnego zapamiętania. Uznałem, że w tym stanie rzeczy lepiej nie zająknąć się nawet o własnych

przejściach, bo wszak byłem tu człowiekiem obcym, jeszcze by mi nie dano wiary i posądzono o jakąś aberrację bądź halucynację. Cóż prostszego nad podejrzenie o skłonność do narkotyków?

Robiono mi później zarzuty, że zastosowałem tę politykę ostrzygi czy strusia, bo gdybym wszystko ujawnił, może nie doszłoby do wiadomych nieszczęść, lecz mówiący tak popełniają oczywisty błąd: najwyżej ostrzegłbym gości hotelowych, lecz to, co się działo w Hiltonie, nie miało wszak najmniejszego wpływu na perypetie polityczne Costaricany.

W drodze do sali obrad kupiłem w hotelowym kiosku plik miejscowych gazet, jak to mam we zwyczaju. Nie kupuję ich, zapewne, wszędzie, lecz człowiek wykształcony może domyślić się sensów w hiszpańskim nawet, choć nie włada tym językiem.

Nad podium widniała umajona tablica z porządkiem dziennym; punkt pierwszy dotyczył katastrofy urbanistycznej świata, drugi — ekologicznej, trzeci — atmosferycznej, czwarty — energetycznej, piąty — żywnościowej, po czym miała nastąpić przerwa. Katastrofę technologiczną, militarystyczną i polityczną przeniesiono na dzień następny razem z wolnymi wnioskami.

Każdy mówca dysponował czterema minutami czasu dla wyłożenia swych tez, co i tak było sporo, zważywszy, że zgłoszono 198 referatów z 64 państw. Aby przyspieszyć tempo obrad, referaty należało przestudiować na własną rękę, przed posiedzeniem, orator zaś mówił wyłącznie cyframi, określając w ten sposób kluczowe ustępy swej pracy; dla ułatwienia recepcji tak bogatych treści wszyscyśmy nastawili swoje podręczne magnetofony oraz komputerki — między tymi ostatnimi dojść miało potem do zasadniczej dyskusji. Stanley Hazelton z delegacji USA zaszokował od razu salę, powtarzając z naciskiem: — 4, 6, 11, z czego wynika 22; 5, 9, ergo 22; 3, 7, 2, 11, skąd wynika znowuż 22!! — Ktoś wstał wołając, że jednak 5, ewentualnie 6, 18 i 4; Hazelton odparował zarzut błyskawicznie, tłumacząc, że tak czy owak 22. Poszukałem w jego referacie klucza numerycznego i dowiedziałem się, że cyfra 22 oznacza katastrofę ostateczną. Następnie Japończyk Hayakawa przedstawił nowy, wykoncypowany w jego kraju model domu przyszłości, osiemsetpięćdziesiąt, z klinikami położniczymi, żłobkami, szkołami, sklepami, muzeami, zoologami, teatrami, kinami i krematoriami; projekt uwzględniał pomieszczenia podziemne na popioły zmarłych, telewizję czterdziestokanałową, izby upojeń i wytrzeźwień, sale podobne do gimnastycznych do uprawiania grupowego seksu (wyraz postępowych przekonań projektantów) oraz katakumby dla nieprzystosowanych ugrupowań subkulturowych. Pewnym novum była myśl, aby każda rodzina, każdego dnia, przeprowadzała się z dotychczasowego

mieszkania do innego, przy czym w grę wchodziły przeprowadzki albo ruchem szachowego pionka, albo konia. Zapobiegałoby to nudzie oraz frustracji, lecz na wszelki wypadek ów gmach o kubaturze siedemnastu kilometrów sześciennych, osadzony na dnie oceanu, a sięgający stratosfery, miał przewidziane własne komputery matrymonialne, swatające na zasadzie sadomasochizmu (stadła sadystów z masochistkami, i na odwrót, są statystycznie najtrwalsze, bo każdy partner ma w nich to, o czym marzy) oraz ośrodek terapii przeciwsamobójczej. Hakayawa, drugi delegat japoński, zademonstrował nam makietę takiego domu — w skali 1:10 000 — z własną rezerwą tlenu, ale bez rezerw wody i żywności, ponieważ dom był planowany z obiegiem zamkniętym: wszelkie wydaliny miano regenerować, wychwytyjąc nawet poty śmiertelne i inne cielesne sekrecje. Yahakawa, trzeci Japończyk, odczytał listę smakołyków regenerowalnych z wydalin całego gmachu. Były tam między innymi sztuczne banany, pierniki, krewetki, ostrygi i nawet sztuczne wino, które, mimo pochodzenia budzącego niemiłe asocjacje, nie ustępowało ponoć w smaku najlepszym winom Szampanii. Na salę dostarczono próbki w estetycznych buteleczkach oraz po paszteciku w opakowaniu z folii, ale jakoś nikt się nie kwapił do picia, a paszteciki upychano dyskretnie pod fotele, więc i ja tak zrobiłem. Pierwotny plan, żeby taki dom mógł latać dzięki potężnym wirnikom, co umożliwiłoby wycieczki zbiorowe, upadł, raz, że takich domów miało być w pierwszym rzucie 900 milionów, a dwa, że przenosiny byłyby bezprzedmiotowe. Gdyby nawet dom miał 1000 wyjść i gdyby mieszkańcy używali wszystkich, i tak nigdy by nie wyszli, bo nim ostatni opuściłby budynek, już zdążyłyby podrosnąć urodzone w tym czasie dzieci.

Japończycy, zdawali się wielce zadowoleni ze swego projektu. Po nich zabrał głos Norman Youhas z delegacji USA, który zaproponował siedem różnych metod zahamowania eksplozji demograficznej, a mianowicie: zniechęcanie perswazyjne i policyjne, deerotyzację, przymusową celibatyzację, onanizację, subordymację, a wobec niepoprawnych — kastrację. Każde małżeństwo miało się ubiegać o prawo posiadania dziecka, składając odpowiednie egzaminy trzech kategorii, to jest kopulacyjny, edukacyjny i bezkolizyjny. Nielegalne urodzenie dziecka podlegało karom; premedytacja i recydywa groziły winnym dożywociem. Do tego referatu odnosiły się owe ładne foldery i bloczki z kuponami do odrywania, jakie dostaliśmy wśród materiałów kongresowych. Hazelton i Youhas postulowali nowe rodzaje zawodów, a mianowicie: inwigilatora matrymonialnego, zakazywacza, rozdzielacza i zatykacza; projekt nowego kodeksu karnego, w którym zapładnianie stanowiło delikt główny, o wyjątkowej

szkodliwości społecznej, rozdano nam niezwłocznie. Podczas rozdawania doszło do incydentu, ktoś bowiem z galerii dla publiczności rzucił na salę koktajl Mołotowa. Pogotowie (było na miejscu, dyskretnie schowane w kularach) zrobiło swoje, a służba porządkowa czym prędzej zasłoniła pogruchotane fotele i resztki wielką, nylonową oponą, pomalowaną w wesołe, estetyczne wzory; jak z tego widać, o wszystkim z góry pomyślano. Między poszczególnymi referatami próbowałem studiować gazety miejscowe, a choć rozumiałem ich hiszpańszczyznę zaledwie piąte przez dziesiąte, i tak dowiedziałem się, że rząd ściągnął do stolicy jednostki pancerne, postawił całą policję w stan ostrego pogotowia oraz wprowadził stan wyjątkowy. Zdaje się, że prócz mnie nikt na sali nie orientował się w powadze sytuacji, jaka panowała za murami. O siódmej była przerwa, podczas której każdy mógł się posilić, na własny koszt oczywiście, ja zaś wracając na salę kupiłem kolejne nadzwyczajne wydanie pisma rządowego „Nacion” oraz kilka popołudniowych dzienników ekstremistycznej opozycji. Choć miałem z hiszpańskim trudności, przecież lektura tych gazet wprawiła mnie w zdumienie, bo z artykułami pełnymi optymistyczno-błogich rozważań na temat międzyludzkich więzi miłosnych, jakie są gwarantkami powszechnego szczęścia, sąsiadowały inne, pełne zapowiedzi krwawych represji i w podobnym tonie utrzymanych pogroźek ekstremistów. Tej łaćności nie umiałem sobie wytłumaczyć inaczej, jak tylko sięgając do hipotezy, że jedni dziennikarze pili tego dnia wodę wodociągową, a inni nie. W organie prawicowym pito jej naturalnie mniej, ponieważ pracownicy redakcyjni, jako lepiej płatni od opozycjonistów, pokrzepiali się w czasie pracy co droższymi trunkami; ale i ekstremiści, choć skłonni, jak wiadomo, do niejkiej ascezy w imię wyższych haseł i ideałów, gasili pragnienie wodą tylko w szczególnych okolicznościach, jeśli zważyć, że quartzupio, napój ze sfermentowanego soku rośliny melmenole, jest w Costaricanie wprost niezwykle tani.

Ledwośmy się zagłębili w miękkich klubowcach, a profesor Dringenbaum ze Szwajcarii wypowiedział pierwszą cyfrę swego przemówienia, dały się słyszeć głucho detonacje; gmach zadrgał lekko w fundamentach, zabrzączały szyby, ale optymiści wołali, że to tylko trzęsienie ziemi. Ze swej strony skłonny byłem sądzić, że to jakaś grupa kontestatorów, pikietujących hotel od początku obrad, cisnęła w hallu petardy. Z mniemania tego wywiódł mnie huk grzmot znaczniejszej siły; dały się też słyszeć karabiny maszynowe z ich charakterystycznym staccato. Nie można już się było dłużej łudzić: Costaricana weszła w fazę walk ulicznych. Jako pierwsi ulotnili się z sali dziennikarze, których strzelanina zerwała na równe nogi niczym pobudka.

Pognali na ulicę, wezwani obowiązkiem zawodowym. Profesor Dringenbaum próbował jeszcze przez parę chwil kontynuować prelekcję napisaną w tonie dość pesymistycznym, utrzymywał bowiem, że następną fazą naszej cywilizacji jest kanibalizacja. Powołał się na znaną teorię Amerykanów, którzy obliczyli, że jeśli wszystko pójdzie na Ziemi tak, jak dotąd, za czterysta lat ludzkość będzie stanowiła żywą kulę ciał, powiększającą się z szybkością światła. Lecz nowe eksplozje przerwały wykład. Zdezorientowani futurologowie jęli wychodzić z sali, mieszając się w hallu z uczestnikami Kongresu Wyzwolonej Literatury, których, jak świadczył o tym ich wygląd, wybuch walk przychwycił w toku czynności wyrażających całkowitą obojętność dla groźby przeludnienia. Za redaktorami domu wydawniczego A. Knopfa sekretarki (nie nazwałbym ich roznegliżowanymi, skoro oprócz wymalowanych na skórze deseni w stylu „op” nie miały na sobie nic zgoła) niosły podręczne fajki wodne i nargile, w których paliła się modna mieszanka LSD, marihuany, yohimbiny i opium. Reprezentanci Wyzwolonej Literatury spalili właśnie, jak usłyszałem, in effigie ministra poczty USA za to, że nakazał swym placówkom niszczenie druków wzywających do masowego uprawiania kazirodztwa; zszedłszy do hallu, zachowywali się bardzo niewłaściwie, zwłaszcza gdy uwzględnić powagę sytuacji. Publicznej moralności nie naruszali już tylko ci spośród nich, którzy opadli całkiem z sił albo trwali w narkotycznym odrętwieniu. Słyszałem krzyki dobiegające z kabin, w których napastowali telefonistki hotelowe, a jakiś brzuchacz w lamparczej skórze, z pochodnią haszyszową w ręku, szalał między szeregami garderoby, atakując cały jej personel. Ledwo go unieszkodliwili urzędnicy z recepcji przy pomocy portierów. Z półpiętra ciskał ktoś na nasze głowy naręcza barwnych zdjęć, obrazujących dokładnie to, co pod wpływem chuci może zrobić jeden człowiek z drugim, a nawet znacznie więcej. Gdy na ulicy pojawiły się, widoczne doskonale przez szyby, pierwsze czołgi, windy bluznęły tłumem przerażonych filumenistów i kontestatorów; depcząc wiadome pasztety i przystawki, przyniesione przez wydawców, a zalegające teraz podłogę hallu, przybysze ci rzucali się na wszystkie strony. Rycząc jak oszalały bawół oraz waląc kolbą papieżówki każdego, kto stał mu na drodze, przebijał się przez ciżbę brodaty antypapista; wybiegł, jak widziałem na własne oczy, przed hotel tylko po to, aby zza węgła otworzyć ogień do przebiegających sylwetek. Widać, jako prawdziwemu ideowcowi ekstremizmu o najradykałniejszej postaci, było mu w gruncie rzeczy wszystko jedno, do kogo strzela. W hallu pełnym krzyków trwogi i rozpusty powstało istne pandemonium, kiedy prysnęły ze szklanym grzechotem pierwsze ogromne szyby; usiłowałem odszukać znajomych dziennikarzy, a widząc,



że wymykają się na ulicę, poszedłem w ich ślady, ponieważ atmosfera wewnątrz Hiltona stała się doprawdy już nazbyt przytłaczająca. Za betonowym ocembrowaniem samochodowego podjazdu, pod okapem hotelowym, przyklekło paru fotoreporterów, filmując zawzięcie okolice, zresztą bez większego sensu, ponieważ, jak to bywa zawsze, najpierw podpalono auta z zagraniczną rejestracją i z parkingu przyhotelowego buchały płomienie oraz chmury dymu; Mauvin z AFP, który znalazł się obok mnie, zacierał ręce z zadowolenia, że przyjechał samochodem wynajętym u Hertza; toteż widok ognia, w jakim skwierczał jego dodge, przyprawiał go o wybuchy śmiechu, czego nie można było powiedzieć o większości amerykańskich dziennikarzy. Zauważyłem ludzi usiłujących gasić płonące auta, byli to przeważnie jacyś ubogo odziani staruszkowie, noszący wodę kubełkami z pobliskiej fontanny. Już to mogło dać nieco do myślenia. W dali, u wylotów Avenida del Salvartion i del Resurrection, błyszczały niewyraźnie kaski policyjne; zresztą plac przed hotelem, jak i okalające go trawniki z masywnopiennymi palmami były w tej chwili puste. Staruszkowie schrypłymi głosami zagrzewali się do akcji ratowniczej, choć wiek podcinał im sterane nogi; taka ofiarność wydała mi się wprost zdumiewająca, aż nagle wspomniałem ranne przeżycia i od razu podzieliłem się mymi podejrzeniami z Mauvinem. Grzechot broni maszynowej, zagłuszany basowymi wybuchami, utrudniał porozumienie: na bystrej twarzy Francuza malowała się przez chwilę kompletna dezorientacja, aż nagle błysk pojawił się w jego oku. — A! — ryknął, przekrzykując zgiełk. — Woda! Woda wodociągowa, co? Wielki Boże, po raz pierwszy w historii... kryptochemokracja! — z tymi słowami, jak żgnięty, pognął do hotelu. Oczywiście, aby zająć miejsce przy telefonie; i tak dziwne było, że łączność jeszcze działa.

Gdy tak stałem na podjeździe, przyłączył się do mnie profesor Trottelreiner ze szwajcarskiej grupy futurologicznej, i wtedy zaszło to, co właściwie już od dawna powinno było zajść: rozwinięty kordon policjantów w czarnych hełmach, czarnych tarczach napierśnych, maskach gazowych, z bronią w ręku, jał otaczać cały kompleks Hiltona, aby stawić czoło tłumowi, który właśnie wynurzył się z parku oddzielającego nas od zabudowań teatru miejskiego. Oddziały specjalne z wielką wprawą ustawiały miotacze granatów i pierwsze ich salwy skierowano w tłum; eksplozje były dziwnie słabe, wyzwalały za to całe chmury białawego dymu; zrazu pomyślałem, że to gaz łzawiący, lecz tłum, zamiast uciekać czy zareagować pełną wściekłości wrzawą, jał się wyraźnie garnać do owych mglistych oparów; krzyki ścichły szybko, zamiast nich zaś posłyszałem jakby litanijne czy modlitewne pienia. Dziennikarze, miotający się

z kamerami i magnetofonami między kordonem a wejściem hotelowym, w głowę zachodzili, co też to być może, ale ja się już domyślałem: najwyraźniej policja zastosowała środki chemicznego dobruhania w formie aerozolowej. Lecz od Avenida del... — już nie pamiętam co — wyszła inna kolumna, której się te granaty jakoś nie chciały imać, a może to tylko tak wyglądało; mówiono później, że kolumna ta szła dalej, aby się zbratać z policją, nie zaś rozerwać ją na sztuki, lecz któż mógł dochodzić tak subtelnych dystynkcji w panującym chaosie? Granatniki przemówiły salwami, po nich odezwały się najpierw z charakterystycznym szumem i syczeniem armatki wodne, wreszcie rozległy się serie maszynowej broni i w jednej chwili powietrze zagrało pianiem pocisków. Tu już nie było żartów; padłem za betonowym murkiem podjazdu niczym za brustwerą okopu, między Stantorem a Haynesem z „Washington Post”; w paru słowach uświadomiłem ich, oni zaś, oburzywszy się na mnie zrazu za to, że jako pierwszemu zdradziłem tak nagłówkowy sekret reporterowi z AFP, poczołgali się biegiem do hotelu, lecz niebawem wrócili z zawiedzionymi minami: łączności już nie było. Stantor dopadł jednak oficera, który kierował obroną hotelu, i od niego dowiedział się, że za chwilę nadlecą samoloty załadowane bombami, to jest Bombami Miłości Bliźniego (BMB); jakoż kazano nam opuścić plac, wszyscy zaś policjanci co do jednego nałożyli maski gazowe ze specjalnymi pochłaniaczami. I nam też je rozdano.

Profesor Trottelreiner, który, jak chciał przypadek, jest specjalistą właśnie w zakresie farmakologii psychotropowej, ostrzegł mnie, żebym się maską gazową w żadnym wypadku nie posługiwał, ponieważ przestaje ona działać ochronnie przy większych stężeniach aerozolu; powstaje wtedy zjawisko tak zwanego „przeskoku” przez pochłaniacz i w jednym momencie można wówczas łyknąć dawkę większą, niż gdyby się zwyczajnie oddychało otaczającym powietrzem. Na moje pytania odpowiedział, że jedynym zbawiennym środkiem jest aparat tlenowy; poszliśmy więc do hotelowej recepcji i znalazłszy jeszcze ostatniego pracownika na posterunku, odszukaliśmy za jego wskazaniem pomieszczenia przeciwpożarowe, gdzie istotnie nie brakowało aparatów tlenowych systemu Draegera z zamkniętym krążeniem. Tak zabezpieczeni, wróciliśmy z profesorem na ulicę w momencie, gdy przeraźliwy gwizd rozcinanego powietrza zwiastował nalot pierwszych samolotów. Jak wiadomo, Hilton został omyłkowo zbombardowany w parę chwil po rozpoczęciu powietrznego uderzenia; jego skutki okazały się straszne. Bomby trafiły co prawda tylko to odległe skrzydło niższej części zabudowań, w którym na wynajętych stoiskach znajdowała się wystawa urządzona przez

Zjednoczenie Wydawców Wyzwolonej Literatury, tak że z gości hotelowych na razie nikt nie poniósł szwanku, lecz za to paskudnie dostało się strzegącej nas policji. Po minucie paroksyzmy miłości bliźniego przybrały w jej szeregach charakter masowy. Na moich oczach policjanci, zdarłszy maski z twarzy, zalewając się gorącymi łzami skruchy, na kolanach błagali demonstrantów o wybaczenie, wtykali im siłą swe solidne pałki, dopraszając się możliwie tęgiego bicia; a po dalszym bembardowaniu, kiedy stężenie aerozolu wzrosło jeszcze bardziej, rzucali się jeden przez drugiego, aby pieścić i miłować każdego, kto się tylko nawinął. Przebieg wypadków udało się zrekonstruować, a i to jedynie częściowo, w szereg tygodni po całej tej tragedii. Rząd postanowił z rana zdławić w zarodku szykujący się zamach stanu, wprowadzając do wieży ciśień około 700 kilogramów dwuładodku dobruchanu oraz superkaresyny z felicytolem; odcięto zapobiegawczo dopływ wody do koszar policyjnych i wojskowych, lecz dla braku rzeczoznawców akcja ta musiała spalać na panewce: nie uwzględniono ani zjawiska przeskoków aerozoli przez filtry masek, ani tym bardziej tego, że rozmaite grupy społeczne wybitnie niejednakowym sposobem korzystają z wody pitnej.

Konwersja policji zaskoczyła tedy czynniki rządowe tym okrutniej, że, jak mi wyjaśnił Trottelreiner, działanie benignatorów jest tym potężniejsze, w im słabszym stopniu poddany im człowiek podlegał dotąd naturalnym, przyrodzonym impulsom życzliwości i dobra. To wyjaśnia fakt, że kiedy dwa samoloty następnej fali zbombardowały siedzibę rządu, wielu najwyższych funkcjonariuszy policyjnych oraz wojskowych popełniło samobójstwa, nie mogąc wytrzymać okropnych wyrzutów sumienia w związku z uprawianą dotąd polityką. Gdy jeszcze dodać, że sam generał Diaz, nim skończył ze sobą wystrzałem rewolwerowym, kazał otworzyć bramy więzień i wypuścić wszystkich politycznych więźniów, łatwiej można zrozumieć wyjątkowe nasilenie walk, do jakich doszło w ciągu nocy. Oddalone od miasta bazy lotnicze były wszak nietknięte, a oficerowie ich mieli swe rozkazy, których trzymali się do ostatka; obserwatorzy zaś wojskowi i policyjni w swoich hermetycznych bunkrach, widząc, co się dzieje, uciekali się wreszcie do ostateczności, która całe Nounas pogrążyła w szale uczuciowego pomieszania. O wszystkim tym nie mieliśmy naturalnie w Hiltonie pojęcia. Dochodziła jedenasta w nocy, gdy na scenie wojennego teatru, jaki stanowił teraz plac razem z otaczającymi go parkami palmowymi, zjawiły się pierwsze pancerne jednostki armii; musiały zdławić miłość bliźniego, jaką okazywała policja, i uczyniły to, nie szczędząc krwi. Biedny Alphonse Mauvin stał o krok od miejsca, w którym wybuchł granat udobruchujący; siła eksplozji oderwała mu palce lewej ręki i lewe ucho,

on jednak zapewniał mnie, że ta ręka od dawna była mu na nic, o uchu szkoda w ogóle mówić, a gdybym tylko chciał, zaraz mi ofiaruje drugie; wydobył nawet z kieszeni scyzoryk, alem mu go odebrał łagodnie i zaprowadziłem go do zaimprovizowanego punktu opatrunkowego, gdzie się nim zajęły sekretarki wyzwolonych wydawców, wszystkie zresztą łkające jak bobry wskutek chemicznego nawrócenia; mało, że się poubierały, ale chodziły nawet z zaimprovizowanymi czarczafami na twarzach, by nie kusić nikogo do grzechu; niektóre, co mocniej wzięte, poobcinały sobie włosy do samej skóry — nieszczęsne istoty. Wracając z sali opatrunkowej, miałem fatalnego pecha natknąć się na grupę wydawców. Nie poznałem ich zrazu; poodziewali się w jakieś stare jutowe worki, poprzepasywali sznurami, które służyły im też do biczowania, i krzyżąc zmiłowania jeden przez drugiego, poklękali przede mną, błagając, bym zechciał należycie wysmagać ich za deprawowanie społeczeństwa. Jakież było moje zdumienie, kiedy przyjrzawszy się im dokładniej, rozpoznałem w tych flagellantach wszystkich pracowników „Playboya” wraz z redaktorem naczelnym! Ten ostatni zresztą nie dał mi się wymknąć, tak mu dopiekało sumienie. Błagali mnie, pojmując, że dzięki aparatowi tlenowemu tylko ja jeden mogę im skrzywić włos na głowie; wreszcie, wbrew woli, zgodziłem się dla świętego spokoju spełnić ich prośby. Ręka mi zemdląła, duszno mi się zrobiło w masce tlenowej, obawiałem się, że nie znajdę innej, pełnej butli, gdy ta mi się skończy, ale oni, ustawivszy się w długi ogonek, nie mogli się doczekać swej kolei. Aby się od nich odczepić, kazałem im wreszcie pozbierać wszystkie te olbrzymie plansze, barwne, które wybuch bemby na bocznym skrzydle Hiltona rozrzucił po całym hallu, tak że wyglądało w nim niczym w Sodomie i Gomorze razem wziętych; na moje polecenie wzniesli z owych papierzysk ogromny stos przed wejściem i podpalili go. Niestety, artyleria stacjonująca w parku wzięła płonący stos za jakąś sygnalizację i skoncentrowała na nas ogień. Czmychnąłem jak niepyszny, po to tylko, by w suterenie dostać się w ręce pana Harveya Simwortha, pisarza, który wpadł na pomysł przerabiania bajek dzieciennych na utwory pornograficzne (to on napisał *Długi Czerwony Kapturek* jako też *Ali Babę i czterdziestu zboczeńców*), potem zaś zbił majątek na przeinaczaniu klasyki światowej; stosował prosty chwyt dopełniania tytułu każdego dzieła przydawką „życie płciowe” (np. — „krasnoludków z sierotką Marysią”, „Jasia z Małgosią”, „Aladyna z lampą”, „Alicji w krainie czarów”, „Guliwera” itd., bez końca). Darmo mu się wymawiałem, że już ręką nie mogę ruszyć. Wobec tego — krzyczał, łkając — muszę go przynajmniej skopać. Cóż było robić — uległem raz jeszcze. Po tych przejściach byłem tak wyczerpany fizycznie, że ledwo dotarłem do pomieszczeń

przeciwpożarowych, gdzie na szczęście znalazłem jeszcze parę nie tkniętych tlenowych butli. Siedział tam, na zwiniętym hydrancie, prof. Trottelreiner, zatopiony w lekturze referatów futurologicznych, wielce rad z tego, że znalazł wreszcie chwilę czasu w swej karierze zawodowego objeżdżacza kongresów. Tymczasem bombardowanie trwało w najlepsze. Profesor Trottelreiner radził stosować w ciężkich wypadkach porażenia miłością (okropny był zwłaszcza napad życzliwości powszechnej, przebiegający z pieszczotliwymi drgawkami) kataplazmy oraz duże dawki rycyny na przemian z płukaniem żołądka.

W ośrodku prasowym Stantor, Wooley z „Heralda”, Sharkey i Küntze, fotoreporter pracujący chwilowo dla „Paris Match”, grali z maskami na twarzach w karty, bo dla braku łączności nie mieli nic lepszego do roboty. Gdym zaczął im kibicować, przybiegł Jo Missinger, senior dziennikarstwa amerykańskiego, wołając, że policji rozdano pastylki furyassolu, aby przeciwdziałać benignatorom. Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać; pognaliśmy do piwnic, niebawem wyjaśniło się jednak, że pogłoska była fałszywa. Wyszliśmy więc przed hotel; melancholijnie stwierdziłem, że brakuje mu wyższych kilkudziesięciu pięter; lawina gruzu pochłonęła mój apartament ze wszystkim, co się tam znajdowało. Łuna ogarnęła trzy czwarte nieba. Barczysty policjant w hełmie gnał za jakimś wyrostkiem krzycząc: — Stój, dlaboga, stój, przecież ja cię kocham! — lecz tamten puścił te zapewnienia mimo uszu. Jakoś ucichło, a dziennikarzy korciła zawodowa ciekawość, ruszyliśmy więc ostrożnie w stronę parku; odbywały się w nim, ze znacznym udziałem tajnej policji, msze czarne, białe, różowe i mieszane. Obok stał olbrzymi tłum ludzi płaczących jak bobry; trzymali nad głowami tablicę z ogromnym napisem: LŻYJCIE NAS, MYŚMY PROWOKATORZY! Sądząc podług ciżby tych nawróconych Judaszów, wydatki rządowe na ich etaty musiały być spore i wpłynęły ujemnie na sytuację ekonomiczną Costaricans. Wróciwszy do Hiltonu, ujrzeliśmy przed nim inny tłum. Wilczury policyjne, przedzierzgnąwszy się w psy z Góry Świętego Bernarda, wносиły z hotelowego baru najdroższe trunki i rozdawały je wszystkim bez wyboru, w samym zaś barze, przemierzawszy się, policjanci i kontestatorzy śpiewali na przemian pieśni wywrotowe i zachowawcze. Zajrzałem do piwnicy, lecz sceny nawróceń, dopieszczeń, pokajań i umiłowań, które tam zobaczyłem, tak mnie zniesmaczyły, że udałem się do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie, jak wiedziałem, siedział prof. Trottelreiner. I on, ku memu zdziwieniu, dobrał sobie trzech partnerów, z którymi grał w brydża. Docent Quetzalcoatl zagrał spod atutowego asa, co tak rozgniewało Trottelreiner, że wstał od stołu; gdym go z innymi uspokajał, przez drzwi wsadził głowę Sharkey, by

powiedzieć nam, że złapał na tranzystorze przemowę generała Aquillo; zapowiedział on krwawe zdławienie rokoszu konwencjonalnym bombardowaniem miasta. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy wycofać się do najniższej kondygnacji Hiltona, to jest kanalizacyjnej, umieszczonej pod schronami. Ponieważ kuchnia hotelowa legła w gruzach, nie było co jeść; zgłodniaли kontestatorzy, filumeniści i wydawcy zapychali się czekoladowymi pastylkami, odżywkami i galaretkami wzmacniającymi potencję, które znaleźli w opustoszałym centro erotico, zajmującym narożnik hotelowego skrzydła; widziałem, jak mienili się na twarzach, gdy podniecające afrodyzjaki i lubczyki mieszały się w ich żyłach z benignatorami; strach było pomyśleć, do czego ta chemiczna eskalacja doprowadzi. Widziałem bratanie się futurologów z indiańskimi pucybutami, tajnych agentów w objęciach służby hotelowej, fraternizację ogromnych tłustych szczurów z kotami — nadto wszystkich bez różnicy lizały psy policyjne. Nasza powolna wędrówka — musieliśmy bowiem przebijać się z trudem przez ciżbę — dała mi się we znaki, zwłaszcza że niosłem, zamykając pochód, połowę zapasu butli tlenowych. Głaskany, całowany po rękach i nogach, adorowany, dusząc się od uścisków i pieszczot, uparcie brnąłem przed siebie, aż posłyszałem okrzyk triumfu Stantora; znalazł wejście do kanału! Ostatnim zrywem sił podźwignęliśmy ciężką klapę i po kolei jęliśmy się opuszczać do betonowej studzienki. Podpierając profesora Trottelreinera, któremu noga omskła się na szczeblu żelaznej drabinki, spytałem go, czy tak sobie wyobrażał ten kongres. Zamiast odpowiedzieć, usiłował pocałować mnie w rękę, co od razu wzbudziło moje podejrzenia, jakoż okazało się, że wskutek przekrzywienia maski łyknął nieco zadżumionego dobrocią powietrza. Zastosowaliśmy natychmiast męki, oddychanie czystym tlenem i czytanie na głos referatu Hayakawy — to była myśl Howlera. Odzyskawszy przytomność, co udokumentował serią soczystych przekleństw, profesor kontynuował marsz wraz z nami. Niebawem ukazały się w mdłym świetle latarki oleiste plamy na czarnej powierzchni kanału; widok ten przyjęliśmy z najwyższą radością, jako że obecnie od powierzchni bombardowanego miasta oddzielało nas dziesięć metrów ziemi. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że o tym azylu pomyślał już ktoś przed nami. Na betonowym progu siedziała w komplecie dyrekcja Hiltona; przezorni menedżerowie zaopatrzyli się w plastikowe nadymane fotele z basenu hotelowego, radia, baterię whisky, schweppesa i cały zimny bufet. Ponieważ i oni używali aparatów tlenowych, nie było nawet mowy o tym, by chcieli się z nami czymkolwiek podzielić. Przybraliśmy jednak groźną postawę, a że mieliśmy liczebną przewagę, udało się nam ich przekonać. W z lekka wymuszonej zgodzie wzięliśmy się do

pałaszowania homarów; tym nie przewidzianym przez program posiłkiem zakończył się pierwszy dzień zjazdu futurologicznego.

\* \* \*

Znużeni przejściami burzliwego dnia jęliśmy się sposobie do noclegu w okolicznościach bardziej niż spartańskich, zważywszy, że przychodziło ułożyć się do snu na wąskim chodniku betonowym, noszącym ślady kanalizacyjnego przeznaczenia. Toteż jako pierwszy powstał problem sprawiedliwego rozdziału nadymanych foteli, w które zaopatrzyła się przezorna dyrekcja Hiltona. Foteli było sześć, dla dwunastu osób, bo sześciuosobowy zarząd hotelu godził się udostępnić te legowiska, na prawach wspólnoty, sekretarkom; tymczasem nas, którzyśmy zeszli do kanału pod przewodem Stantora, było dwudziestu, w tym grupa futurologiczna profesorów Dringebauma, Hazeltona i Trottelreinerera, grupa dziennikarzy i sprawozdawców telewizji CBS, z dokooptowanymi po drodze dwiema osobami, a mianowicie nie znanym nikomu krępkim mężczyzną w skórzanej kurtce i bryczesach oraz małą Jo Collins, osobistą współpracownicą redaktora „Playboya”; Stantor zamierzał wykorzystać jej chemiczne nawrócenie i już po drodze zmawiał się z nią, jak słyszałem, o prawo pierwszeństwa jej wspomnień. Przy sześciu fotelach i trzydziestu siedmiu reflektantach sytuacja natychmiast się zaogniła. Staliśmy po obu stronach tych pożądaných legowisk, patrząc na siebie spode łba, do czego zresztą zmuszały maski tlenowe. Ktoś zaproponował, żeby na dany znak wszyscy zdjęli te maski; w samej rzeczy jasne było, że opanowani wówczas altruizmem, zlikwidujemy w ten sposób przedmiot sporu. Mimo to nikt się nie kwapił do realizacji projektu. Po długich swarach doszło wreszcie do kompromisu — zgodziliśmy się na losowanie i trzygodzinny sen pokolejny; za losy posłużyły kupony owych pięknych kopulacyjnych książeczek, jakie niektórzy z nas mieli jeszcze przy sobie. Tak się złożyło, że przyszło mi spać w pierwszej zmianie, razem z profesorem Trottelreinerem, bardziej chudym, a nawet kościstym, niżbym sobie mógł tego życzyć, skoro dzieliliśmy łożo (a raczej fotel). Nasi następcy w kolejce zbudzili nas brutalnie i gdy układali się na wygrzanych legowiskach, przykucnęliśmy nad brzegiem kanału, niespokojnie sprawdzając stan ciśnienia w butlach tlenowych. Było już jasne, że tlen skończy się za kilka godzin; perspektywa zniewolenia dobrocią zdawała się nieunikniona i nastrojała wszystkich ponuro. Wiedząc o tym, że zakosztowałem już owego błogostanu, towarzysze wypytywali mnie skwapliwie o wrażenia. Zapewniałem ich, że nie jest to takie złe; mówiłem jednak bez większego

przekonania. Morzyła nas senność; żeby nie powpadać do kanału, przywiązaliśmy się, czym kto mógł, do żelaznej drabinki pod klapą. Z niespokojnej drzemki wyrwał mnie odgłos wybuchu silniejszego niż wszystkie dotąd; rozejrzałem się w panującym półmroku, bo przez oszczędność wszystkie latarki prócz jednej zgaszono. Na brzeg kanału włączyły wielkie, grube szczury. Było to o tyle dziwne, że szły gęsiego i na tylnych łapach; uszczypnąłem się, ale to nie był sen. Zbudziłem profesora Trottelreintera i pokazałem mu ów fenomen; nie wiedział, co o nim myśleć. Szczury chodziły parami, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi; w każdym razie nie brały się do lizania nas, co stanowiło już podług profesora dobry znak; najprawdopodobniej powietrze było czyste. Ostrożnie zdjęliśmy maski. Obaj reporterzy po mojej prawicy spali w najlepsze; szczury wciąż spacerowały na dwóch nogach, my zaś z profesorem zaczęliśmy kichać, bo tak zakręciło nam w nosie; sądziłem zrazu, że to skutek kanałowych zapachów — dopóki nie spostrzegłem pierwszych korzonków. Schyliłem się nad własnymi nogami. Nie było mowy o pomyłce. Wypuszczałem korzenie, mniej więcej od kolan, wyżej natomiast zazieleniłem się. Teraz puszczałem już pąki nawet rękami. Otwierały się szybko, rosły w oczach, nabrzmiwały, białawe co prawda, jak to zwykle bywa z roślinnością w piwnicy; czułem, że jeszcze chwila, a zaczną owocować. Chciałem zapytać Trottelreintera, jak to sobie tłumaczy, ale musiałem podnieść głos, tak szumiął. Śpiący też przypominali strzyżony żywoplot, obsypany liliowym i szkarłatnym kwieciem. Szczury skubały listki, gładziły się łapkami po wąsach i rosły. Pomyślałem, że jeszcze trochę, a można będzie ich dosiąść; tęskniłem — jak to drzewo — do słońca. Jakby z ogromnej odległości doszły mnie miarowe grzmoty, coś obsypywało się, huczało, echo szło korytarzami, zacząłem czerwienieć, potem załzociłem się, wreszcie sypnąłem liśćmi. Co, już jesień — zdziwiłem się — tak prędko?

Lecz jeśli tak, to już odjeżdżać czas, wykorzeniłem się więc i nastawiłem dla pewności ucha. Ani chybi — surmy grały. Okulbaczony szczur, okaz wyjątkowy nawet jak na wierzchowego, odwrócił głowę i spojrzał na mnie spod obwisłych skośnie powiek smutnymi oczami profesora Trottelreintera. Zacukałem się od nagłej wątpliwości: jeżeli to profesor przypominający szczura, dosiąść go nie uchodzi, ale jeśli tylko szczur podobny do profesora, nic to. Lecz surmy grały. Skoczyłem nań na oklep i wpadłem do kanału. Dopiero ta wstrętna kąpiel otrzeźwiła mnie. Trzęsąc się z obrzydzenia i wściekłości wylazłem na chodnik. Szczury niechętnie zrobiły mi nieco miejsca. Dalej spacerowały na dwu nogach. Ależ to jasne — przemknęło na — halucynogeny: gdy ja miałem się za drzewo, czemuż one nie mogły się mieć za



ludzi? Po omacku szukałem maski tlenowej, aby ją wdziać czym prędzej. Odnalezioną zacząłem naciągać na twarz; oddychając jednak niespokojnie, bo skąd wziąć pewność, czy to maska rzetelna, czy tylko jej przywidzenie?

Wokół mnie pojaśniało nagle — podniósłszy głowę, ujrzałem otwartą klapę, a w niej sierżanta armii amerykańskiej, który wyciągał do mnie rękę.

— Prędzej! — zawołał. — Prędzej!

— Co, helikoptery przyleciały?! — zerwałem się na równe nogi.

— Na górę, szybko! — wołał.

Inni też się już podrywali. Wspiąłem się po drabince.

— Nareszcie! — dyszał pode mną Stantor.

Na górze było jasno od pożaru. Rozejrzałem się żadnych helikopterów, jedynie kilku żołnierzy w bojowych hełmach, z podpinkami spadochroniarzy, podawało nam jakąś uprząż.

— Co to jest? — spytałem zdziwiony.

— Prędzej, prędzej! — wołał sierżant.

Żołnierze zaczęli mnie kulbaczyć. Halucynacja! — pomyślałem.

— Nic podobnego — rzekł sierżant — to są olstra skokowe, nasze indywidualne rakiety, zbiornik jest w tornistrze. Złap się pan za to — wetknął mi w rękę jakąś dźwignię, gdy żołnierz, stojący za moimi plecami, dociągał gurt pasa. — Dobra!

Sierżant klepnął mnie po ramieniu i nacisnął coś na moim tornistrze. Rozległ się przeciągły, ostry świst, para czy też biały dym, buchający z dyszy tornistra, owionął mi nogi, zarazem uniosłem się jak piórko w powietrze.

— Ależ ja nie umiem tym kierować! — wołałem, mknąc świecą w czarne niebo, groźnie połyskujące łunami.

— Naucz się pan! Azymut na Gwiazdę Polarną!! — krzyczał z dołu sierżant.

Spojrzałem pod nogi. Pędziłem właśnie nad gigantyczną kupą gruzu, która niedawno jeszcze była hotelem Hiltona. Obok widniała maleńka gromadka ludzi, dalej ogromnym pierścieniem buchały krwawe języki ognia, na jego tle zaczerniała okrągła plamka — to startował, z otwartym parasolem, profesor Trottelreiner. Obmacywałem się sprawdzając, czy pasy i szleje trzymają jak należy. Tornister bulgotał, dudlił, świszczwał, para buchająca odrzutem coraz mocniej parzyła mi łydki, podkurczałem je więc, jak mogłem. od tego jednak straciłem stateczność i przez dobrą minutę kręciłem się w powietrzu jak ciężki bąk. Potem — nieumyślnie

— szarpnąwszy dźwignię, coś zmieniłem w ustawieniu wylotów, bo jednym rzutem puściłem się w poziomy lot. Było to nawet dość przyjemne, a byłoby daleko milsze, gdybym przynajmniej wiedział, dokąd lecę. Manipulowałem dźwignią, starając się zarazem ogarnąć całą leżącą pod mną przestrzeń. Czarnymi zębami rysowały się rury domów na ścianach pożarów. Zobaczyłem błękitne, czerwone i zielone nitki ognia, które poszybowały ku mnie z ziemi, zapiało mi przy uchu, pojąłem, że strzelają do mnie. A więc szybciej, szybciej! Nacisnąłem dźwignię. Tornister charknął, zagwizdał jak nadpsuty parowóz, oblał mi ukropem nogi i tak mnie pchnął, że pomknąłem koziołkując w czarny jak smoła przestwór. Wicher gwizdał mi w uszach, czułem, jak syczoryk, portfel i inne drobiazgi sypią mi się z kieszeni, spróbowałem znurkować za utraconymi przedmiotami, ale znikły mi z oczu. Byłem sam, pod spokojnymi gwiazdami, i wciąż sycząc, szumiąc, dudniąc — leciałem. Starłem się odnaleźć Gwiazdę Polarną, by wejść na jej kurs; gdy mi się to udało, tornister wydał ostatnie tchnienie i z rosnącą chyżością runąłem w dół. Na całe szczęście tuż nad ziemią — widziałem wijącą się mgławo szosę, cienie drzew, jakieś dachy — raz jeszcze rzygnął resztką pary. Odrzut ten zahamował mój upadek, tak że poleciałem dość nawet miękko na trawę. Ktoś leżał nie opodal w rowie i jęczał. Byłoby doprawdy dziwne — pomyślałem — gdyby się tam znajdował profesor! W samej rzeczy to był on. Pomogłem mu wstać. Obmacał całe ciało, narzekając, że zgubił okulary. Zresztą nic złego sobie nie zrobił. Poprosił, abym pomógł mu odpiąć tornister, ukląkł na nim i wyciągnął coś z bocznej kieszeni; były to jakieś stalowe rurki z kołem.

— A teraz pański...

Z mego tornistra też wy dobył koło, coś tam majstrował, aż zawołał:

— Wsiadać! Jedziemy.

— Co to jest? Dokąd? — spytałem oszołomiony.

— Tandem. Do Waszyngtonu — lakonicznie odparł profesor, już z nogą na pedale.

— Halucynacja! — przemknęło mi.

— Skąd! — obruszył się Trottelreiner. — Zwyczajne wyposażenie spadochroniarskie.

— No dobrze, ale skąd się pan na tym zna? — pytałem, sadowiąc się na tylnym siodełku.

Profesor odepchnął się i pojechaliśmy po trawie, aż ukazał się asfalt.

— Pracuję dla USAF! — odkrzyknął profesor, za wzięcie pedałów.

O ile pamiętałem, od Waszyngtonu dzieliły nas jeszcze Peru i Meksyk, nie mówiąc o Panamie.

— Nie damy rady rowerem! — zawołałem pod wiatr.

— Tylko do punktu zbornego! — odkrzyknął profesor.

Czyżby nie był zwyczajnym futurologiem, za którego się podawał? Wpakowałem się w nie byle jaką kabałę... I co ja mam do roboty w Waszyngtonie? Zacząłem hamować.

— Co pan robi? Proszę kręcić! — surowo strofował mnie profesor pochylony nad kierownicą.

— Nie! Stajemy. Ja wysiadam! — odparłem zdecydowanie.

Tandem zatoczył się i zwolnił. Profesor, wspierając się nogą o ziemię, pokazał mi szyderczym gestem dookólne mroki.

— Jak pan chce. Szczęść Boże!

Ruszał już.

— Bóg zapłać! — zawołałem i patrzałem w ślad za nim; czerwona iskierka tylnego światła znikła w ciemności, ja zaś, zdezorientowany, usiadłem na słupku milowym, żeby przemyśleć własną sytuację.

— Coś kłuło mnie w łydkę. Machinalnie sięgnąłem ręką, wymacałem jakieś gałązki i jąłem je obłamywać. Zabolało. Jeżeli to są moje pędy — rzekłem sobie — jestem niewątpliwie nadal wewnątrz halucynacji! Pochyliłem się, żeby to sprawdzić, gdy wtem uderzyła we mnie jasność. Zza zakrętu błysnęły srebrne jody, olbrzymi cień samochodu zwolnił, otwarto się drzwi. Wewnątrz pałały zielone, złotawe i niebieskie pasemka światełek na tablicy rozdzielczej, matowy blask spowijał parę kobiecych nóg w nylonach, stopy w złotej jaszczurce spoczywały na pedałach, ciemna twarz z pąsowymi wargami pochyliła się ku mnie, zabłyśły brylanty na palcach trzymających koło kierownicze.

— Podwieźć?

Wsiadłem. Byłem tak zaskoczony, że zapomniałem o moich gałązkach. Ukradkiem przesunąłem ręką wzdłuż własnych nóg — to były tylko osty.

— Co, już? — odezwał się niski głos o zmysłowym timbrze.

— Niby „co, już?” — spytałem zbity z pantafyku.

Wzruszyła ramionami. Potężny samochód skoczył, dotknęła jakiegoś klawisza, zapadł mrok, tylko przed nami gnał strzép oświetlonej drogi, spod tablicy rozdzielczej popłynęła klaskająca melodia. Jednak to dziwne — myślałem. — Jakoś się nie klei. Ani ręki, ani nogi. Co prawda nie gałązki, tylko osty, a jednak, jednak!

Przyjrzałem się obcej. Była niewątpliwie piękna, w sposób zarazem kuszący, demoniczny i brzoskwiniowy. Ale zamiast spódniczki miała jakieś pióra. Strusie? Halucynacja?... Z drugiej strony, obecna moda damska... Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Szosa była pusta; rwaliśmy, aż igła tachometru pochylała się ku krańcowi skali. Naraz jakaś ręka wczepiła mi się z tyłu we włosy. Drgnąłem. Palce, zakończone ostrymi paznokciami, drapały mnie w potylicę, raczej pieszczotliwie niż morderczo.

— Kto to? Co tam? — próbowałem się uwolnić. Nie mogłem jednak ruszyć głową. — Proszę mnie puścić!

Ukazały się światła, jakiś wielki dom, żwir chrupnął pod oponami, samochód zakreślił ostro, przytarł do krawężnika, stanął.

Dłoń, która wciąż dzierżyła mnie za czuprynę, należała do drugiej kobiety, odzianej w czerń, bladej, smukłej, w ciemnych okularach. Drzwi otwarły się.

— Gdzie jesteście? — spytałem.

Milcząc przypadły do mnie, ta od kierownicy wypychała mnie, ta druga ciągnęła stojąc już na chodniku. Wylazłem z auta. W domu bawiono się, słyszałem dźwięki muzyki, jakieś pijane krzyki, wodotrysk mienił się żółcią i purpurą w okiennym świetle. U podjazdu moje towarzyszkę wzięły mnie mocno pod rękę.

— Ależ ja nie mam czasu — bąkałem.

Nie zważały na moje słowa ani trochę. Czarna nachyliła się i gorącym oddechem tchnęła mi w samo ucho:

— Hu!

— Jak proszę?

Byliśmy już przed drzwiami; obie zaczęły się śmiać, nie tyle do mnie, co ze mnie. Wszystko odstręczało mnie od nich; poza tym były coraz mniejsze. Klękały? Nie, nogi obrastały im piórami. No — rzekłem sobie nie bez ulgi — a więc jednak halucynacja!

— Jaka tam halucynacja, fajtłapo! — parsknęła ta w okularach. Podniosła wyszywaną czarnymi perłami torebkę i zdzieliła mnie prosto w ciemność, aż jęknąłem.

— Patrzcie go, halucynanta! — krzyczała druga. Mocny cios trafił mnie w to samo miejsce. Upadłem zakrywając głowę rękami. Otworzyłem oczy. Profesor Trottelreiner pochylał się nade mną z parasolem w rękę. Leżałem na chodniku kanałowym. Szczury w najlepsze chodziły parami.

— Gdzie, gdzie pana boli? — dopytywał się profesor. — Tu?

— Nie, tutaj... — pokazałem spuchnięte ciemię.

Ujął parasol za cieńszy koniec i palnął mnie w obolałe miejsce.

— Ratunku! — krzyknąłem. — Proszę przestać! Czemu...

— To jest właśnie ratunek! — odparł futurolog bezlitośnie. — Nie mam, niestety, pod ręką innego antidotum!

— Ale przynajmniej nie skuwką, dlaboga!

— Tak jest pewnie.

Uderzył mnie raz jeszcze, odwrócił się i zawołał kogoś. Zamknąłem oczy. Głowa okrutnie bolała. Poczułem szarpnięcie. Profesor i mężczyzna w skórzanej kurtce chwycili mnie pod ręce i nogi, i zaczęli gdzieś nieść.

— Dokąd? — zawołałem.

Gruz sypał mi się na twarz z dygocącego stropu; czułem, jak niosący kroczą po jakiejś chwiejnej desce czy kładce i drżałem, żeby się nie pośliznęli. — Dokąd mnie niesiecie? — pytałem słabo, lecz nikt nie odpowiedział. W powietrzu stał nieustanny huk. Zrobiło się jasno od pożaru; byliśmy już na powierzchni, jacyś ludzie w mundurach chwyтали kolejno wszystkich wyciąganych z otworu kanałowego i ciskali dość brutalnie w otwarte drzwi — mignęły mi olbrzymie białe lakierowane litery US ARMY COPTER 1 109 849 — i upadłem na nosze. Profesor Trottelreiner wetknął głowę do helikoptera.

— Przepraszam, Tichy! — krzyczał. — Proszę wybaczyć! To było konieczne!

Ktoś stojący za nim wyrwał mu z ręki parasol, zdzielił nim profesora dwa razy na krzyż po głowie i pchnął go, aż futurolog jęknąwszy upadł między nas, równocześnie zaś zaszumiały wirniki, zahuczały motory i maszyna wzbija się majestatycznie w powietrze. Profesor usiadł przy noszach, na których leżałem, pocierając delikatnie potylicę. Muszę wyznać, że chociaż pojmowałem samarytańskość jego czynów, z zadowoleniem skonstatowałem, że wyrósł mu olbrzymi guz.

— Dokąd lecimy?

— Na kongres — rzekł, wciąż krzywiąc się jeszcze, Trottelreiner.

— To jest... jak to na kongres? Przecież już był?

— Interwencja Waszyngtonu — wyjaśnił mi lakonicznie profesor. — Będziemy kontynuować obrady.

— Gdzie?

— W Berkeley.

— Na kampusie?

— Tak. Ma pan może jakiś nóż albo scyzoryk przy sobie?

— Nie.

Helikopter zatrząsł się. Grzmot i płomień rozpruły kabinę, z której wylecieliśmy jeden przez drugiego — w bezkresną ciemność. Męczyłem się potem długo. Zdawało mi się, że słyszę jękliwy głos syren, ktoś rozcinał mi ubranie nożem, traciłem przytomność i znów ją odzyskiwałem. Trzęsła mną gorączka i zła droga — widziałem matowobiały sufit ambulansu. Obok leżał jakiś długi kształt jakby obandażowanej mumii — po przytroczonym parasolu poznałem profesora Trottelreinerera. Ocalałem... — przemknęło mi. — Żeśmy się też nie rozstrzaskali na śmierć. Co za szczęście. Nagle pojazd zatoczył się z przenikliwym wrzaskiem opon, wywrócił koźła, płomień i grzmot rozerwały blaszane pudło. Co, znowu? — błysnęła mi ostatnia myśl, nim pogrążyłem się w mrocznej bezpamięci. Otworzywszy oczy, ujrzałem szklaną kopułę nad sobą; jacyś ludzie w bieli, zamaskowani, z rękami wzniesionymi kapłańsko, porozumiewali się półszepem.

— Tak, to był Tichy — doleciało mnie. — Tu, do słoja. Nie, nie, sam mózg. Reszta nie nadaje się. Dawajcie tymczasem narkozę.

Nikłowy krążek, obramowany watą, zasłonił mi wszystko, chciałem krzyżeć, wołać pomocy, ale wciągnąłem piekący gaz i rozpląnąłem się w nicości. Gdy znów przyszło ocknięcie, nie mogłem otworzyć oczu, ruszyć ręką ani nogą, jakbym był sparaliżowany. Ponawiałem te wysiłki, nie bacząc na ból w całym ciele.

— Spokojnie! Proszę się tak nie rzucać! — usłyszałem miły, melodyjny głos.

— Co? Gdzie jestem? Co ze mną...? — wybełkotałem. Miałem zupełnie obce usta, całą twarz.

— Jest pan w sanatorium. Wszystko dobrze. Proszę być dobrej myśli. Zaraz damy panu jeść...

Ale ja nie mam czym... — chciałem odpowiedzieć. Rozległ się szcęk nożyc. Całe płaty gazy odpadały z mojej twarzy. Pojaśniało. Dwu rośliwych pielęgniarzy wzięło mnie delikatnie, lecz mocno pod ręce i postawiło na równe nogi. Zdumiałem się, że tacy są ogromni. Posadzili mnie na fotelu z kółkami. Przede mną dymił apetycznie wyglądający rosół. Sięgnąłem automatycznie po

łyżkę i zauważyłem, że ręka, która ją chwyciła, była mała i czarna jak heban. Podniosłem ją do oczu. Sądząc po tym, że mogłem nią ruszać, jak chciałem, była to moja ręka. Bardzo jednak się zmieniła. Chcąc spytać o przyczynę tego zjawiska, podniosłem się i moje oczy napotkały lustro na przeciwległej ścianie. W fotelu na kółkach siedziała tam młoda przystojna Murzynka w piżamie, obandażowana, z wyrazem osłupienia na twarzy. Dotknąłem nosa. Odbicie w lustrze zrobiło to samo. Zacząłem obmacywać twarz, szyję, a natrafiwszy na biust, wydałem okrzyk trwogi. Głos miałem cieniutki.

— Wielki Boże!

Pielęgniarka strofowała kogoś, że nie zasłonił lustra. Potem zwróciła się do mnie:

— Ijon Tichy, nieprawdaż?

— Tak. To znaczy — tak! Tak! Ale co to ma znaczyć? Ta dziewczyna — ta czarna panienka?

— Transplantacja. Nie dało się inaczej. Chodziło o to, żeby uratować panu życie. Żeby uratować pana, to znaczy — pański mózg! — pospiesznie, a zarazem wyraźnie mówiła pielęgniarka, trzymając mnie za obie ręce. Zamknąłem oczy. Otwarłem je. Zrobiło mi się słabo. Wszedł chirurg z wyrazem najwyższego oburzenia na twarzy.

— Co to za nieporządki! — huknął. — Pacjent może wpaść w szok!

— Już wpadł! — odrzuciła pielęgniarka. — To Simmons, panie profesorze. Mówiłam mu, żeby zasłonił lustro!

— Szok? A więc na co czekacie? Na operacyjną! — zakomenderował profesor.

— Nie! Już dosyć! — wołałem.

Nikt nie zwracał uwagi na moje dziewczęce piski. Biała płachta opadła mi na oczy i twarz. Usiłowałem wyrwać się — nadaremnie. Słyszałem i czułem, jak ogumione koła wózka toczą się po płytach posadzki.

Rozległ się przeraźliwy huk, z ostrym trzaskiem pękały jakieś szyby. Płomień i grzmot wypełniły szpitalny korytarz.

— Kontestacja! Kontestacja! — wydierał się ktoś, szkło chrupało pod butami uciekających, chciałem zedrzeć z siebie krępujące płótna, ale nie mogłem; poczułem ból w boku, przeraźliwy, i straciłem przytomność.

Ocknąłem się w kisielu. Był żurawinowy, wyraźnie nie dosłodzony. Leżałem na brzuchu, przywalało mnie coś dużego, dość miękkiego. Strąciłem to z siebie. Był to materac. Ceglany gruz

boleśnie wpijał się w kolana i powierzchnię dłoni. Wypluwałem pestki żurawinowe i ziarenka piasku, podnosząc się na rękach. Separatka wyglądała jak po wybuchu bomby. Futryny wyskoczyły, ostatnie nie dotłuczone zęby szkła chyliły się z nich ku podłodze. Siatka obalonego łóżka była osmalona. Obok mnie, powalany kisiem, leżał duży zadrukowany arkusz. Ująłem go i zacząłem czytać.

*Kochany Pacjencie (imię, nazwisko!). Przebywasz obecnie w naszym eksperymentalnym szpitalu stanowym. Zabieg, który uratował Ci życie, był poważny — bardzo poważny (niepotrzebne skreślić). Nasi najlepsi chirurdzy, w oparciu o najnowsze osiągnięcia medycyny, dokonali na Tobie jednej — dwu — trzech — czterech — pięciu — sześciu — siedmiu — ośmiu — dziewięciu — dziesięciu operacji (niepotrzebne skreślić). Byli oni zmuszeni, dla Twego dobra, zastąpić pewne części Twojego organizmu narządami wziętymi od innych osób zgodnie z Ustawą Federalną Izb, Kongr. i Sen. (Rozp. Dz. Ust. 1989/0001/89/1). To serdeczne powiadomienie, które obecnie czytasz, ma Ci pomóc w najlepszym zaakomodowaniu się do nowo powstałych warunków życia. Ocaliliśmy je dla Ciebie. Jednakowoż byliśmy zmuszeni usunąć Ci ręce, nogi, grzbiet, czaszkę, kark, brzuch, nerki, wątrobę, inne (niepotrzebne skreślić). Możesz być całkowicie spokojny o los owych Twoich doczesnych szczątków; zaopiekowaliśmy się nimi zgodnie z Twoją religią i wierni jej zaleceniom dokonaliśmy ich pogrzebania, spalenia, mumifikacji, rozsiania prochów na wietrze, napelnienia urny popiołem, poświęcenia, wysypania do śmieci (niepotrzebne skreślić). Nowa postać, w jakiej będziesz odtąd pędzić szczęśliwe i zdrowe życie, może stanowić dla Ciebie niejaki zaskoczenie, lecz zapewniamy Cię, że jak wszyscy nasi inni drodzy pacjenci, wnet się przyzwyczaisz. Uzupelniliśmy Twój organizm, wykorzystując najlepsze, sprawne, dostateczne, takie organy (niepotrzebne skreślić), jakie mieliśmy do dyspozycji. Gwarantujemy Ci sprawność owych organów na przeciąg roku, sześciu miesięcy, kwartału, trzech tygodni, sześciu dni (niepotrzebne skreślić). Musisz zrozumieć, że...*

Na tym się tekst urywał. Teraz dopiero zauważyłem, że na samej górze arkusza napisał ktoś blokowymi literami: IJON TICHY. Oper. 6, 7 i 8. KOMPLET. Papier zadygotał mi w rękach. Wielki Boże, co ze mnie zostało? Bałem się spojrzeć nawet na własny palec. Grzbiet dłoni porastały grube, rude włosy. Zatrząsałem się cały. Wstałem, opierając się o ścianę, z zawrotem głowy. Biustu nie miałem; dobre i to. Panowała cisza. Jakiś ptaszek ćwierkał za oknem. Wybrał sobie czas na ćwierkanie! KOMPLET. Co znaczy KOMPLET? Kim jestem? Ijonem Tichym. Tego byłem pewien. A więc? Najpierw obmacałem nogi. Były obie, ale krzywe



— w iks. Brzuch — nieprzyjemnie spory. Palec wpadł do pępka jak do studni. Fałdy tłuszczu... brrr! Co się ze mną stało? Helikopter, prawda. Zestrzelono go? Ambulans. Chyba granat lub mina. Potem ja — ta czarna mała — potem kontestacja — na korytarzu — granaty? Więc i ja, biedule?... I raz jeszcze... Ale co znaczą te ruiny, ten gruz?

— Halo! — zawołałem — jest tu kto?

Urwałem zaskoczony. Miałem wspaniały głos, operowy bas, że aż echo poszło. Chciałem koniecznie przejrzeć się w lustrze, lecz bardzo się bałem. Podniosłem rękę do policzka. Mocny Boże! Grube, zwałnione kudły... Pochyliwszy się, zobaczyłem własną brodę, zakrywała mi piżamę do pół piersi, rozstrzępiona, kosmata, ruda. Ahenobarbus! Rudobrody! No, można się ogolić... Wyrząłem na taras. Ptaszek dalej ćwierkał — kretyn. Topole, sykomory, krzewy — cóż to jest? Ogród. Stanowego szpitala...? Na ławce ktoś siedział, z podkasanymi nogawkami piżamy, i opalał się.

— Halo! — zawołałem.

Odwrócił się. Ujrzałem dziwnie znajomą twarz. Zamrugałem oczami. Ależ to moja, to ja! Trzema susami znalazłem się na zewnątrz. Dysząc, wpatrywałem się we własną postać. Żadnej wątpliwości — to byłem ja!

— Czego pan tak patrzy? — odezwał się niepewnie, moim głosem.

— Skąd to — do pana? — wybełkotałem. — Kto pan jest?! Kto dał panu prawo...

— Aha! To pan!

Wstał.

— Jestem profesor Trottelreiner.

— Ale dlaczego... na Boga, dlaczego... kto...

— Nie miałem w tym żadnego udziału — rzekł poważnie. Moje wargi mu drgały. — Wtargnęli tu ci, wie pan — yippiesi. Kontestatorzy. Granat... Stan pana uznano za beznadziejny, mój też. Bo ja leżałem obok, w następnej separacie.

— Jak to „beznadziejny”! — parsknąłem. — Przecież widzę — jak pan mógł!

— Ależ byłem bez przytomności, daję panu słowo! Doktor Fisher, główny chirurg, wyjaśnił mi wszystko: brali najpierw narządy i ciała najlepiej zachowane, a kiedy przyszli moja kolej, zostały już tylko wybierki, więc...

— Jak pan śmie! Mało, że przywłaszczył pan sobie moje ciało, jeszcze się pan wybrzydza!

— Nie wybrzydzam się, powtarzam tylko to, co mówił mi doktor Fisher! Zrazu uznali to — wskazał własną pierś — za niezdatne, ale w braku czegoś lepszego podjęli się reanimacji. Pan już był w tym czasie przeszczepiony...

— Ja byłem...?

— No tak. Pana mózg.

— Więc kto to jest? To znaczy był? — pokazałem na siebie.

— Jeden z tych kontestatorów. Jakiś przywódca podobno. Nie umiał się obchodzić z zapalnikami, dostał odłamkiem w mózg, tak słyszałem. No więc... — Trottelreiner wzruszył mymi ramionami.

Wzdrygnąłem się. Było mi nieswojo w tym ciele, nie wiedziałem, jak się mam do niego ustosunkować. Brzydziłem się. Paznokcie grube, kwadratowe, nie zwiastowały inteligencji!

— I co będzie teraz? — szepnąłem, siadając obok profesora, bo mi kolana zmiękły. — Ma pan może lusterko?

Wyjął z kieszeni. Zobaczyłem, porwawszy je chciwie, wielkie, podsiniaczone oko, porowaty nos, zęby w fatalnym stanie, dwa podbródki. Dół twarzy tonął w rudej brodzie. Oddając lusterko zauważyłem, że profesor znów wystawił kolana i łydki do słońca i pod wpływem pierwszego impulsu chciałem go przestrzec, że mam nader delikatną skórę, ale ugryzłem się w język. Jeśli dozna słonecznego poparzenia, będzie to jego rzecz, bo już nie moja!

— Dokąd ja teraz pójdę? — wyrwało mi się.

Trottelreiner ożywił się. Jego (jego?!) rozumne oczy spoczęły ze współczuciem na mej (mej?!) twarzy.

— Nie radzę panu nigdzie iść! On był poszukiwany przez policję stanową i przez FBI za serię zamachów. Są listy gończe, nakazy „shoot to kill”!

Zadrzałem. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Boże, to jednak chyba halucynacja! — pomyślałem.

— Ale skąd! — żywo zaprzeczył Trottelreiner. — Jawa, drogi panie, najrzetelniejsza jawa!

— Czemu szpital taki pusty?

— To pan nie wie? A, prawda, pan był nieprzytomny... Jest strajk.

— Lekarzy?

— Tak. Całego personelu. Ekstremiści porwali doktora Fishera. Żądają wydania im pana

w zamian za jego zwolnienie.

— Wydania mnie?

— No tak, nie wiedzą że pan, nieprawdaż, już nie jest sobą, tylko Ijonem Tichym...

W głowie mi pękało.

— Popełnię samobójstwo! — rzekłem ochryplym basem.

— Nie radzę. Żeby znowu pana przesadzili?

Rozmyślałem gorączkowo, jak się przekonać, czy to nie jest jednak halucynacja.

— A gdybym tak... — rzekłem podnosząc się.

— Co?

— Gdybym się tak przejechał na panu. Hm? Co pan na to?

— Prze... co? Pan chyba oszalał?!

Zmierzyłem go oczami, zebrałem się w sobie, skoczyłem na oklep i wpadłem do kanału. Omal się nie udławiłem czarną, cuchnącą bryją, lecz cóż to była, mimo wszystko, za ulga! Wylazłem na brzeg, szczurów było już mniej, widać sobie gdzieś poszły. Zostały tylko cztery. U samych kolan śpiącego głęboko profesora Trottelreiner'a grały jego kartami w bridża. Przeraziłem się. Nawet biorąc pod uwagę niezwykle wysokie, stężenie halucynogenów — czy to możliwe, żeby naprawdę mogły grać? Zajrzałem najtłustszemu w karty. Młócił nimi bez ładu i składu. Nie był to żaden bridż! No, nic takiego... Odetchnąłem.

Na wszelki wypadek postanowiłem twardo nie ruszać się na krok od kanału: miałem zupełnie dość wszelkich form ratunku z opresji, przynajmniej na jakiś czas. Będę się domagał pierwszej gwarancji, inaczej znów Bóg wie co mi się przywidzi. Obmacałem twarz. Ani brody, ani maski. Co się znów z nią stało?

— Co się mnie tyczy — rzekł profesor Trottelreiner, nie otwierając oczu — jestem uczciwą dziewczyną i liczę na to, że zechce pan to uwzględnić.

Nadstawił ucha, jak gdyby uważnie wysłuchiwał odpowiedzi na swe słowa, po czym dorzucił:

— Z mojej strony nie jest to pozór cnotliwości, który by miał dodatkowo rozpalić otepiałą chuć, lecz szczerą prawdą. Proszę mnie nie dotykać, gdyż byłabym zmuszona targnąć się na swoje życie.

— Aha! — przemknęło mi domyślnie — więc i jemu spieszo do kanału!

Słuchałem dalej, uspokojony nieco, ponieważ fakt, że profesor halucynował, wydał mi się

dowodem na to, iż przynajmniej ja tego nie robię.

— Zaśpiewać mogę, owszem — rzekł tymczasem profesor — skromna piosnka do niczego nie zobowiązuje. Czy będzie mi pan akompaniował?

Jednakże mógł po prostu mówić przez sen; w takim wypadku znów nic nie było wiadomo. Może go dosiąść na próbę? Ale właściwie mógłbym wskoczyć do kanału bez jego pośrednictwa.

— Jakoś nie jestem przy głosie. A i mama na mnie czeka. Proszę mnie nie odprowadzać! — kategorycznie oświadczył Trottelreiner. Wstałem i poświeciłem na wszystkie strony latarką. Szczury znikły. Szwajcarska grupa futurologiczna chrapała pokotem u samej ściany. Opodał, na wydymany fotelach, leżeli reporterzy przemieszani z kierownictwem Hiltona. Wszędzie walały się ogryzione kości drobiu i puszki po piwie. Jeśli to halucynacja, to nader, nader realistyczna — rzekłem sobie. Chciałem się jednak upewnić, że nią nie jest. Dalipan, wolałbym powrócić na definitywną, nieodwołalną jawę. A co tam na górze?

Wybuchy bomb, czy też bemb, odzywały się głucho i z rzadka. Rozległ się bliski, głośny plusk. Powierzchnia czarnych wód rozchyliła się, ukazując skrzywioną twarz profesora Trottelreiner. Podałem mu rękę. Wylażł na brzeg, otrząsnął się i zauważył:

— Miałem idiotyczny sen.

— Panieński, co? — rzuciłem od niechcienia.

— U diabła! A więc nadal halucynuję?!

— Czemu pan tak sądzi?

— Tylko w zwidach osoby postronne znają treść naszych snów.

— Po prostu słyszałem, co pan mówił — wyjaśniłem. — Profesorze, jako fachowiec nie zna pan przypadkiem jakiejś sprawdzonej metody przekonania się, czy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, czy też cierpi omamy?

— Zawsze noszę przy sobie ocykan. Torebka jest przemoczona, ale pastylkom to nie szkodzi. Przerywa wszelkie stany pomrocne, majaczenia, zwidy i koszmary. Chce pan?

— Być może preparat pański tak działa — mruknąłem, — ale na pewno nie działa tak zwid tego preparatu.

— Jeżeli halucynujemy, obudzimy się, a jeśli nie, nic się zupełnie nie stanie — zapewnił mnie profesor, wkładając sobie do ust blad różową pastylkę. Wziąłem i ja jedną z mokrej torebki, którą mi podsunął.

Ześliznęła się do gardła po języku. Z hukiem otworzyła się kłapa kanałowa nad nami i głowa w hełmie spadochroniarskim wrzasnęła:

— Prędko, na górę, jazda, prędko, wstawać!

— Helikoptery czy olstra? — spytałem domyślnie. — Jeśli o mnie chodzi, panie sierżancie, może się pan wypchać.

I siadłem pod ścianą, krzyżując ręce na piersi.

— Zwariował? — zapytał sierżant rzeczowo Trottelreinera, który począł się wspinać po drabince. Zrobił się ruch. Stantor usiłował mnie podnieść chwyciwszy za ramię, ale odtrąciłem jego rękę.

— Woli pan tu zostać? Proszę bardzo...

— Nie tak: „Szczęść Boże” — poprawiłem go. Jeden po drugim znikali w otwartej kłapie kanału; widziałem blask ognia, słyszałem krzyki (komendy, po głuchym świcie zorientowałem się, że kolejno ekspedują ich przy pomocy latających tornistrów. Dziwne — zreflektowałem się — co to właściwie znaczy? Czy ja halucynuję za nich? Per procura? I co, będę tak siedział do sądnego dnia?

Mimo to ani się ruszyłem. Kłapa zatrasnęła się z hukiem i zostałem sam. Latarka, postawiona sztorcem na betonie, odbitym w stropie kręgiem światła rozjaśniała słabo otoczenie. Przeszły dwa szczury, miały szczelnie splecione ogony. To coś znaczy — rzekłem sobie — ale lepiej będzie jednak się w to nie wdawać.

Zachlupotało w kanale. No no — rzekłem pod nosem — i czyjaż to kolej teraz? Kleista powierzchnia wody rozstała się, ukazując lśniące, czarne postaci pięciu płetwonurków, w okularach, maskach tlenowych, z bronią w ręku, którzy wskoczyli jeden po drugim na chodnik i szli ku mnie, człapiąc przeraźliwie żabiastymi płetwami stóp.

— Habla usted español? — zwrócił się do mnie pierwszy, ściągając maskę z głowy. Miał śniadą twarz i wąsik.

— Nie — odparłem. — Ale jestem przekonany, że pan mówi po angielsku, co?

— Jakiś bezczelny gringo — rzucił ten z wąsikiem drugiemu. Jak na komendę, wszyscy obnażyli twarze i wzięli mnie na cel.

— Mam wejść do kanału? — spytałem ochoczo.

— Masz stanąć pod ścianą. Ręce w górę, a wysoko!

Dostałem lufą w zębra. Zauważyłem, że halucynacja była bardzo dokładna — nawet

pistolety maszynowe mieli wszyscy owinięte w plastikowe worki, aby nie zamokły.

— Było ich tu więcej — rzekł ten z wąsikiem do tęgiego bruneta, który usiłował zapalić papierosa. Ten wyglądał mi na dowódcę. Oświecili całe obozowisko, kopiąc z hałasem puste puszki, przewracając fotele, wreszcie oficer rzekł:

— Broń?

— Obmacałem, panie kapitanie. Nie ma.

— Czy mogę spuścić ręce? — spytałem spod ściany. — Bo mi zasypiają.

— Mhm — skinął oficer, wydmuchując nozdrzami dym. — Nie! Czekać! — dorzucił.

Podszedł do mnie, kołysząc się w biodrach. Do pasa miał przytroczony cały pęk złotych pierścionków na sznurku. Niezwykle realistyczne! — pomyślałem.

— Gdzie ci inni? — spytał.

— Mnie pan pyta? Wyhalucynowali się przez klapę. A zresztą pan to i tak wie.

— Pomieszany, panie kapitanie. Niech się nie męczy — rzekł ten z wąsikiem i odciągnął bezpiecznik przez plastikową osłonę.

— Nie tak — rzekł oficer. — Będzie dziura w worku, skąd weźmiesz inny, durniu? Nożem go.

— Jeśli mogę się wtrącić, wolałbym jednak kulę — zauważyłem, nieznacznie opuszczając ręce.

— Kto ma nóż?

Zaczęli szukać. Oczywiście okaże się, że go nie mają! — rozważałem. — Za prędko by się to skończyło. Oficer cisnął niedopałek na beton, rozgniół go z niesmakiem końcem płetwy, splunął i rzekł:

— Kończyć go. Idziemy.

— Tak, bardzo proszę! — powtórzyłem skwapliwie.

Zbliżyli się do mnie, zaintrygowani.

— Co ci tak spieszno na tamten świat, gringo? Patrzcie wieprza, jak się doprasza! A może mu tylko urznąć palce i nos? — próbowali jeden przez drugiego.

— Nie, nie! Proszę od razu, panowie! Bez litości, śmiało! — zachęcałem ich.

— Pod wodę! — zakomenderował oficer. Spuścili na twarze maski z czół, oficer rozpiął pas zewnętrzny, dobył z wewnętrznej kieszeni płaski rewolwer, dmuchnął w lufę, podrzucił broń jak kowboj w kiepskim filmie i strzelił mi w plecy. Paskudny ból prześwidrował klatkę

piersiową. Zacząłem się osuwać po ścianie; złapał mnie za kark, wykręcił twarzą do góry i strzelił raz jeszcze z tak bliska, że oślepił mnie ogień wylotowy. Huku nie usłyszałem, bo straciłem przytomność. Byłem potem w zupełnym mroku, dusząc się, bardzo długo, coś targało mną, podrzucało, mam nadzieję, że ani ambulans, ani helikopter — myślałem, potem zrobiło się, w tym mroku, jeszcze ciemniej, i nawet owa ciemność rozpuściła się w końcu, tak że nie zostało już nic.

Gdy otwarłem oczy, siedziałem na schludnie pościętym łóżku, w pokoju o wąskim oknie, z szybą zamalowaną białym lakierem; patrzałem tępo na drzwi, jak gdyby na coś czekając. Nie miałem pojęcia, ani gdzie jestem, ani skąd się tu wziąłem. Na nogach miałem płaskie trepy, na sobie — pasiastą piżamę. Dobrze, że choć coś nowego — przemknęło mi — jakkolwiek nie zapowiada się to nazbyt ciekawie. Drzwi uchyliły się. Stał w nich, otoczony gromadką młodych ludzi w białych płaszczach szpitalnych, krępy brodac z siwą, szczotkowatą czupryną, w złotych okularach. W ręku trzymał gumowy młotek.

— Ciekawy przypadek — rzekł. — Bardzo ciekawy, proszę kolegów. Pacjent ten uległ zatruciu znaczną dawką halucynogenów cztery miesiące temu. Działanie ich ustąpiło już od dawna, lecz on nie potrafi w to uwierzyć i nadal uważa wszystko, co dostrzeża, za objaw halucynatoryczny. W aberracji swej posunął się tak daleko, że sam prosił żołnierzy generała Diaza, którzy uciekali kanałami z zajętego pałacu, aby go rozstrzelali, ponieważ liczył na to, że śmierć będzie w samej rzeczy przebudzeniem z omamów. Został uratowany dzięki trzem bardzo poważnym zabiegom — usunięto mu dwie kule z komór sercowych — i uznał, że nadal halucynuje.

— Czy to jest schizofrenia? — cienkim głosem spytała niska studentka, która, nie mogąc się przepchać przez stłoczonych kolegów, stawała na palcach, aby zobaczyć mnie ponad ich barkami.

— Nie. Jest to psychoza reaktywna o nowej postaci, wywołanej, niewątpliwie, zastosowaniem tych fatalnych środków. Wypadek zupełnie beznadziejny; tak źle rokujący, że zdecydowaliśmy się poddać go witrifikacji.

— Doprawdy? Panie profesorze! — studentka nie posiadała się z zainteresowania.

— Tak. Jak wiecie, przypadki beznadziejne można już obecnie zamrażać w płynnym azocie na okres od czterdziestu do siedemdziesięciu lat. Każdy taki pacjent zostaje umieszczony w hermetycznym pojemniku, rodzaju naczynia Dewara, z dokładnym opisem historii choroby; w

miarę nowych odkryć i postępów medycyny podziemia, w których przechowuje się tych ludzi, podlegają remanentom, i wskrzesza się każdego, któremu już można pomóc.

— Czy pan się chętnie godzi na to, aby zostać zamrożonym? — spytała mnie studentka, wetknąwszy głowę między dwu roślących studentów. Oczy jej płonęły naukową ciekawością.

— Nie rozmawiam z przywidzeniami — odparłem. — Najwyżej mogę powiedzieć, jak pani na imię. Halucyna.

Gdy zamykali drzwi, słyszałem jeszcze głos studentki, która mówiła: — Zimowy sen! Witryfikacja! To przecież podróż w czasie, jak romantycznie! — Nie podzielałem jej zdania, lecz cóż mi pozostawało nad poddanie się fikcyjnej zewnętrżności? Pod wieczór następnego dnia dwaj pielęgniarze zaprowadzili mnie do sali operacyjnej, w której stał szklany basen, dymiący parami tak lodowatymi, że od ich powiewu ścinało dech. Dostałem moc zastrzyków, potem, ułożonego na stole operacyjnym, napojono mnie przez rurkę słodkawym przezroczystym płynem — gliceryną, jak mi wyjaśnił starszy pielęgniarz. Był dobry dla mnie. Nazywałem go Halucjanem. Gdy zasypiałem już, pochylił się nade mną, żeby mi jeszcze krzyknąć do ucha: — Szczęśliwego przebudzenia!

Nie mogłem mu ani odpowiedzieć, ani nawet palcem ruszyć. Przez cały czas — tygodniami! — obawiałem się pośpiechu z ich strony — że mnie wrzucą do basenu, nim stracę przytomność. Widać jednak pospieszyli się zbyt, ponieważ ostatnim dźwiękiem tego świata, jaki doszedł mych uszu, był plusk, z którym ciało moje wpadło do płynnego azotu. Przykry dźwięk.

\* \* \*

Nic.

\* \* \*

Nic.

\* \* \*

Nic, ale to zupełnie nic.

\* \* \*



Zdawało mi się, że coś, lecz gdzie tam. Nic.

\* \* \*

Nie ma nic — mnie też nie.

\* \* \*

Jak długo jeszcze? Nic.

\* \* \*

Jak gdyby coś, chociaż to niepewne. Muszę się skoncentrować.

\* \* \*

Coś, ale bardzo niewiele tego. W innych okolicznościach uznałbym, że nic.

\* \* \*

Lodowce białe i błękitne. Wszystko jest zrobione z lodu. Ja też.

\* \* \*

Ładne te lodowce, gdyby tylko nie było tak cholernie zimno.

\* \* \*

Igły lodowe i śniegowe kryształki. Arktyka. Kra w gębie. Szpik w kościach? Jaki tam szpik — czysty, przezroczysty lód. Jest lodowaty i sztywny.

\* \* \*

Mrożonka — to ja. Ale co to znaczy „ja”? Oto pytanie.

\* \* \*

Jeszcze nigdy nie było mi tak zimno. Całe szczęście, że nie wiem, co to „mi”. Mnie? Niby komu? Lodowcowi? Czy góry lodowe mają dziurki?

\* \* \*

Jestem zimowym kalafiolem w promieniach słońca. Wiosna! Wszystko już taje. Ja przede wszystkim. W ustach — sopel albo język.

\* \* \*

Jednak to język. Męczą mnie, turlają, łamią, trą, a nawet, zdaje się, biją. Leżę pod plastikową płachtą, nade mną — lampy. A więc stąd mi się wziął ten inspektowy kalafior. Musiałem majaczyć. Białło — wszędzie białło, ale to ściany, nie śnieg.

\* \* \*

Odmrozili mnie. Z wdzięczności postanowiłem pisać dziennik — jak tylko będę mógł wziąć pióro do zgrabiącej ręki. W oczach — wciąż jeszcze lodowe tęcze i niebieskie lśnienia. Zimno piekielne, ale już mogę się wygrzewać.

27 VII. Podobno reanimowano mnie przez trzy tygodnie. Były jakieś trudności. Siedzę w łóżku i piszę. Mam pokój duży za dnia i mały wieczorem. Pielęgnują mnie młode ładne kobiety w srebrnych maseczkach. Niektóre bez piersi. Widzę podwójnie lub lekarz naczelny ma dwie głowy. Wikt całkiem zwykły — kasza manna, strucla, mleko, płatki owsiane, befsztyczek. Cebulka nieco przypalona. Lodowce już śnią mi się tylko — ale z okropną uporczywością. Zamarzam, lodowacieję, zalodowuję się, ośnieżony i skrzypiący od wieczora do ranka. Termofory, kompresy nie pomagają. Najlepiej jeszcze spirytus przed snem.

28 VII. Te kobiety bez piersi — to studenci. Nie można poza tym odróżnić od siebie płci. Wszyscy duzi, ładni i wciąż uśmiechnięci. Jestem słaby, rozkapryszony jak dziecko, wszystko mnie drażni. Po zastrzyku wbiłem dziś igłę w zadek siostrze przełożonej, ale prawie nie przestała się do mnie uśmiechać. Chwilami jakbym płynął na krze, to jest na łóżku. Wyświetlają mi na suficie zajączki, mrówki, krówki, robaczki i zuczki. Czemu? Dostaję gazetę dla dzieci. Pomyłka?

29 VII. Męczę się szybko. Ale już wiem, że poprzednio, to znaczy na początku reanimacji, majaczyłem. Podobno tak ma być. To normalne. Przybyszów sprzed kilkudziesięciu lat przyzwyczajają się do nowego życia stopniowo. Proceder ten przypomina sposób, w jaki

wyciągają nurka z otchłani, nie można z wielkiej głębi wydobyć go za jednym zamachem. Tak i odmrożeńca — to pierwsze nowe słowo, jakie poznałem — przysposabia się na raty do nie znanego mu świata. Mamy rok 2039. Jest lipiec, lato, ładna pogoda. Moja osobista pielęgniarka nazywa się Aileen Rogers, ma niebieskie oczy i dwadzieścia trzy lata. Przyszedłem powtórnie na świat w rewitarium pod Nowym Jorkiem. Inaczej — zmartwychwstania. Tak mówią. To prawie miasto z ogrodami. Własne młyny, piekarnie, drukarnie. Bo teraz już nie ma zboża ani książek. Jest jednak chleb, śmietanka do kawy i ser. Nie od krowy? Pielęgniarka myślała, że krowa — to jakaś maszyna. Nie mogę się dogadać. Skąd się bierze mleko? Z trawy. Wiadomo, że z trawy, ale kto ją żre, żeby było mleko? Nikt nie żre. Więc skąd się bierze mleko? Z trawy.

Samo? Samo z niej się robi? Nie samo. To znaczy niezupełnie samo. Trzeba mu pomóc. Krowa pomaga? Nie. Więc jakie zwierzę? Żadne zwierzę. Więc skąd się bierze mleko! I tak dalej, w kółko.

*30 VII 2039.* Prosta rzecz — polewają czymś pastwisko i od promieni słońca robi się z trawy serek. O mleku jeszcze nie wiem. Ale w końcu to nie jest jednak najważniejsze. Zaczynam wstawać — i na wózek. Byłem dziś nad stawem pełnym łabędzi. Są posłuszne, przyplływają na wezwanie. Tresowane? Nie, one są zdalne. Co to znaczy? Z jakiej odległości są te łabędzie? Zdalnie sterowane. Dziwne. Ptactwa naturalnego nie ma już, wyginęło na początku XXI wieku — od smogu. To przynajmniej pojmuję.

*31 VII 2039.* Zacząłem chodzić na lekcje życia współczesnego. Udziela ich komputer. Nie odpowiada na wszystkie pytania. „Dowiesz się później”. Od trzydziestu lat na Ziemi panuje trwały pokój dzięki rozbrojeniu powszechnemu. Wojska zostało mało co. Pokazywał mi już modele robotów. Jest ich wiele — różnych, ale nie w rewitarium — aby nie płoszyć odmrożeńców. Panuje powszechny dobrobyt. To, o co wciąż pytam, nie jest najważniejsze podług mego preceptora. Lekcja odbywa się w małej kabinie, przed pulpitem. Słowa, obrazki i trójwymiarowe projekcje.

*5 VIII 2039.* Już za cztery dni mam opuścić rewitarium. Na ziemi żyje 29,5 miliarda ludzi. Istnieją państwa i granice, lecz nie ma konfliktów. Poznałem dziś główną różnicę między dawnymi i nowymi ludźmi. Pojęciem podstawowym jest teraz psychemia. Żyjemy w

psywilizacji. Hasło „psychiczny” przestało istnieć — teraz mówi się „psychemiczny”. Komputer mówił, że ludzkość szarpały sprzeczności między staromózgowiem, odziedziczonym po zwierzętach, i nowomózgowiem. Stare jest popędowe, irracjonalne, egotyczne i bardzo zaciekle. Nowe ciągnęło tu — stare tam. Jeszcze mam trudności z wystawianiem bardziej zawiłych rzeczy. Stare biło się wciąż z nowym. To jest nowe ze starym. Psychemia zlikwidowała te wewnętrzne zmagania, które pochłaniały tyle marnowanej energii umysłowej. Psychemikalia robią za nas, co należy, ze staromózgowiem — harmonizują, łagodzą, perswadują, od środka, po dobremu. Na uczuciach spontanicznych polegać nie wolno. Kto by tak robił, ten jest nieprzyzwoity. Trzeba zawsze zażyć specyfik odpowiedni do okoliczności. On pomoże, podeprze, nakieruje, usprawni i wygładzi. Zresztą to nie on, to część mnie samego, jak stają się nią po przyzwyczajeniu okulary, bez których źle widać. Nauki te szokują mnie — boję się kontaktu z nowymi ludźmi. Nie chcę zażywać psychemikaliów. Są to — mówi preceptor — opory typowe i naturalne. Jaskiniowiec też by się zapierał przed tramwajem.

8 VIII 2039. Byłem z pielęgniarką w Nowym Jorku. Zielony ogrom. Wysokość, na której płyną chmury, można regulować. Powietrze jak w lesie. Przechodnie na ulicach papuzio odziani, szlachetni z twarzy, dobrzy dla siebie, uśmiechnięci. Nikt się nigdzie nie spieszy. Moda kobieca jak zawsze nieco obłądna — kobiety mają na czołach ruchome widoczki, z uszu wystają im małe czerwoniuchne jęczyczki albo guziczki. Oprócz naturalnych rąk można mieć detaszki — rączki dodatkowe, do odpinania. Nie mogą te ręce wiele, ale zawsze — potrzymać co, otworzyć drzwi, podrapać między łopatkami. Opuszczam jutro rewitarium. Podobnych jest w Ameryce dwieście, a mimo to powstały już poślizgi w terminarzu odmrażania tłumów, które w zeszłym wieku ufnie kładły się do lodowej kąpieli. Wzgląd na zastygłe kolejki zmusza do przyspieszania procedur rehabilitacyjnych. Pojmuję to w pełni. Mam rachunek bankowy, tak że o pracę będę się musiał starać dopiero po Nowym Roku. Każdemu zamrażanemu zakłada się bowiem książeczkę oszczędnościową na procent składany, z tak zwanym zmartwychwstaniem docelowym.

9 VIII 2039. Dziś jest ten ważny dla mnie dzień. Mam już mieszkaidełko trzypokojowe na Manhattanie. Terkopterem prosto z rewitarium. Mówi się teraz bardzo zwięźle: „tercić” i „kopcić”. Nie chwytam jednak znaczeniowej różnicy obu tych czasowników. Nowy Jork, dawne śmietnisko zatkane samochodami, zamienił się w system wielopiętrowych ogrodów. Słoneczne

światło pompuje się przewodami. To są soledukty. Tak grzecznych, nie rozkapryuszonych dzieci za mych czasów nie było poza budującymi powiastkami. Na rogu mojej ulicy — Biuro Rejestracji Samorodnych Kandydatów do Nagrody Nobla. Obok salony sztuki, w których za bezcen sprzedają same autentyczne płótna — z gwarancjami, metrykami — nawet Rembrandty i Matisy! W oficynie mego wieżowca — szkoła małych komputerków pneumatycznych. Stąd dochodzą czasem — wentylacyjnymi szybami? — ich syczenia i sapania. Komputerków tych używa się między innymi do wypychania ukochanych psów po ich naturalnej śmierci. Wydaje mi się to raczej monstrualne, ale ludzie, jak ja, stanowią tu wszak znikomą mniejszość. Chodzę wiele po mieście. Umiem już poruszać się gnakiem. To łatwe. Kupiłem sobie amarantowy żupanik z białym frontem, srebrnymi bokami, amarantową wstęgą, złoto lamowanym kołnierzem. To jest najmniej jaskrawy ze strojów, jakie teraz się nosi. Można mieć odzież wciąż zmieniającą krój i barwę, suknie kurczące się pod spojrzeniem męskim lub na odwrót — rozkładające się jak kwiaty do snu, suknie i bluzki pokazujące różne rzeczy, jakby były ekranikami telewizyjnymi; i te widoczki na nich się ruszają. Można nosić orderzy, jakie kto chce i ile się chce. Można hodować hydroponicznie japońskie rośliny karłowate na kapeluszu, ale na szczęście można ich też nie hodować i nie nosić. Nie będę niczego wieszał ani w uszach, ani w nosie. Ulotne wrażenie, że ludzie, tacy ładni, duzi, mili, grzeczni i spokojni, są jeszcze do tego jacyś — jacyś osobni, specjalni — coś w nich jest takiego, co mnie dziwi, a co najmniej zastanawia. Tylko co to być może — pojęcia nie mam.

*10 VIII 2039.* Byłem dziś z Aileen na kolacji. Miły wieczór. Potem — Starożytne Wesołe Miasteczko na Long Island. Ubawiliśmy się wybornie. Obserwuję uważnie ludzi. Coś w nich jest. Coś w nich jest osobliwego — ale wciąż nie mogę tego dojść. Ubranka dzieci — chłopczyk przebrany za komputera. Inny szybujący na wysokości pierwszego piętra, nad Piątą Ulicą, nad tłumem, i sypiący cukrowy groszek na przechodniów. Kiwano doń, uśmiechano się pobłażliwie. Idylla. Nie do wiary!

*11 VIII 2039.* Był dopiero co klibiscyt w sprawie pogody wrześniowej. Wyznacza się ją w równym i powszechnym głosowaniu na miesiąc naprzód. Wynik głosowania podaje się niezwłocznie dzięki komputerowi. Głosuje się, nakręcając odpowiedni numer telefonu. Sierpień będzie słoneczny, z małą ilością opadów, niezbyt upalny. Będzie sporo tęcz i kumulusów. Tęcze

są nie tylko przy deszczu, bo można je jakoś inaczej produkować. Przedstawiciel meteo przeproszał za nieudane chmury z 26, 27 i 28 lipca — niedopatrzenia kontroli technicznej! Jadam na mieście, czasem w mieszkadle. Aileen wypożyczyła dla mnie słownik Webstera z rewitarycznej biblioteki, bo teraz nie ma książek. Nie wiem, co je zastąpiło. Nie rozumiałem jej wyjaśnień, a głupio było się do tego przyznać. Znów kolacja z Aileen — w „Bronxie”. Zawsze ma coś do powiedzenia ta miła dziewczyna, nie jak te dziewczęta w gnakach, zwalające cały obowiązek konwersacyjny na swe torebkowe komputery. Widziałem dziś w Biurze Rzeczy Znalezionych trzy takie torebki, które zrazu rozmawiały spokojnie, a potem się pokłóciły. Co do przechodniów i w ogóle ludzi w miejscach publicznych — jak gdyby sapią. To jest głośno oddychają. Zwyczaj taki?

12 VIII 2039. Wziąłem na odwagę, by spytać przechodniów o księgarnię. Wzruszali ramionami. Gdy oddaliło się dwu, których nagabywałem, doszły mnie słowa: — A to ci sztywny defryzoń. — Czyżby istniało uprzedzenie wobec odmrożeńców? Zapisuję dalsze nieznanne wyrażenia, jakem je słyszał: pojął, wcier, trzywina, samiczniak, pałacować, bodolić, pałcić, syntać. Gazety reklamują takie produkty, jak ciotan, czujan, wanielacz, łechtomobil (łechtawka, łecht). Tytuł notatki miejskiej kroniki w „Heraldzie”: *Od półmatka do półmatka*. Mowa w niej o jakimś jajkonoszu, który pomylił jajnię. Odpisuję z dużego Webstera: *Półmatek, jak półbabek, półgęsek. Jedna z dwu kobiet, kolektywnie wydających na świat dziecko. Jajkonosz — od (anachr.) listonosz. Euplanista dostarczający licencyjnych jajeczek ludzkich do domu. Nie powiem, żebym to rozumiał. Ciotan — por. stryjan bryjan. Encyk — por. pencyk, patrz też pod Watykan. Idiotyczny słownik podaje synonimy, których też nie rozumiem. Popałacować, podpałacować, przepałacować — chwilowo mieć (nie: wynająć) pałac. Wanielacz — doduch. Najgorsze są słowa, które nie zmieniły wyglądu, lecz zdobyły zupełnie nowy sens. Myśliwy — plagiator cudzych pomysłów. Symulat — obiekt nie istniejący, który udaje, że jest. Smarkacz — smarowniczy-robot, odróżnić od zmarskacz. Zmarskacz — resuscytant, przywrócony do życia denat, wskrzeszona ofiara mordy. Proszę! A dalej jeszcze: *Wstawańka od wańka-wstańka*. Widać ożywił trupa to teraz nic takiego. A ludzie — wszyscy niemal — sapią. W windzie, na ulicy, wszędzie. Wyglądają kwitnąco, rumiani, weseli. opaleni, a dyszą. Ja nie. Więc nie musi się. Zwyczaj taki czy co? Pytałem Aileen — wyśmiała mnie, że nic podobnego. Czyżby mi się zdawało?*

13 VIII 2039. Chciałem przejrzeć przedwczorajszą gazetę, ale choć przewróciłem mieszkanie do góry nogami, nie znalazłem jej. Aileen znów mnie — prześlicznie zresztą — wyśmiała: gazeta ulatnia się do dwudziestu czterech godzin, substancja, na której ją drukują, rozpuszcza się w powietrzu. Usprawnia to wywózkę śmieci. Ginger, koleżanka Aileen, pytała mnie dziś — tańczyliśmy tarlestona w małym lokalu: — Czybyśmy się nie złyknęli na sobotnią ciasnatkę? — Nie odpowiedziałem nic, nie wiedząc, co to znaczy, a coś mi mówiło, że lepiej się o sens nie dopytywać. Za namową Aileen wykosztowałem się na rzeczywisior. Telewizji nie ma już od pięćdziesięciu lat. Zrazu trudno oglądać, bo wrażenie takie, jakby obcy ludzie, ale też psy, lwy, krajobrazy, planety — waliły się człowiekowi w kąt pokoju, zmaterializowane, że nie odróżnisz od realnych rzeczy i osób. Poziom artystyczny jednak raczej niski. Nowe suknie zważy się tryszcze, bo się je natrykuje na ciało z buteleczek. Język zmienił się najbardziej. Żywać od żyć, jak bywać od być, bo można żyć kilkakrotnie. Stąd forma częstotliwa. Ale także: pryć — pryć, myć — mydło, bać — bać. Pojęcia nie mam co to znaczy, a nie sposób zamieniać randki z Aileen w lekcje wkuwania słówek. Snidło — to sterowany sen podług obstalunku. Zamawia się u wysennika komputerowego, to jest w dzielnicowym biurze sentezy. Przed wieczorem dostarczają śnitek — to są takie pastylki. Już o tym nikomu nie mówię, lecz nie ulega wątpliwości: mają zadyszkę. Co do jednego. Nie zwracają na nią uwagi — najmniejszej, zwłaszcza osoby starsze wprost sapią. Chyba to jednak taki zwyczaj, bo powietrzem oddycha się doskonale i o duszności ani mowy. Dzisiaj widziałem sąsiada, jak wysiadał z windy — łapał powietrze i był trochę siny na twarzy. Ale przyjrzawszy mu się bliżej, sprawdziłem, że jest w doskonałym zdrowiu. Niby głupstwo, a nie daje mi spokoju. Czemu to tak? Niektórzy tylko nosem.

Wyśnidałem dziś (wyśnidłem? wyśnidłem?) prof. Tarantogę, bo mi za nim tęskno. Ale dlaczego przez cały czas siedział w klatce? Moja podświadomość czy pomyłony obstalunek? Spiker nie mówi: wielka walka, lecz: wala. Jak: salka i sala? Dziwne. Nie mówi się też bynajmniej: rzeczywiszja, jak dotąd pisałem. Pomyliłem się. Mówi się: rewizja (od res — rzecz, i wizja). Aileen miała dziś dyżur, spędziłem wieczór samotnie, w mieszkaniu, to jest mieszkadle, oglądając dyskusję okrągłego stołu nad nowym kodeksem karnym. Zabójstwo karze się tylko aresztem, bo ofiarę można wszak łatwo wskrzesić. Właśnie taki wskrzeszony człowiek zwie się zmarskacz. Dopiero recydacja — recydywa z premedytacją — pociąga już za sobą kary

więzienia (jeśli się kilka razy pod rząd zabije tę samą osobę). Natomiast delikty główne — to złośliwe pozbawienie kogoś osobistych środków psychicznych oraz wpływanie na osoby trzecie takimi środkami bez ich zgody i wiedzy. Tak można przecież dokonać wszystkiego, czego się łąknie, np. uzyskać pożądany zapis testamentaryczny, wzajemność uczuć, zgodę na uczestnictwo w dowolnym planie, spisku etc. Było mi bardzo trudno śledzić tok tej dyskusji przed kamerami. Dopiero pod koniec połapałem się, że więzienie znaczy teraz coś innego niż dawniej. Skazanego nigdzie się nie zamyka, a jedynie nakłada mu się na ciało rodzaj cienkiego gorsetu czy raczej okładziny z delikatnych, lecz mocnych prętów; ten egzozszkielecik znajduje się pod trwałą kontrolą prokureterka (mikrokomputera jurydycznego), który ma się wszyty w odzież. Właściwie jest to więc nieustanny nadzór, udaremniający podejmowanie wielu czynności i korzystanie z życiowych uciech. Dotąd uległy egzozszkielet stawia opór przy próbach kosztowania zakazanych owoców. W wypadkach najcięższych deliktów stosuje się jakiś kryminol. Wszyscy uczestnicy dyskusji mieli wypisane na czołach nazwiska i stopnie naukowe. Pewno, że to ułatwia porozumienie, ale jakieś jednak dziwaczne.

*I IX 2039.* Niemiła przygoda. Gdy wyłączyłem po południu rewizor, by się przyszykować na spotkanie z Aileen, dwumetrowy drab, nie pasujący mi od początku do oglądanej sztuki (*Ospanka mutanga*), pół wierzba, pół atleta z sękatą, powykręcaną gębą buro-seledynowej barwy, zamiast zniknąć jak cały obraz, podszedł do mego fotela, wziął ze stolika kwiaty, którym przygotował dla Aileen, i zmiażdżył je na mojej głowie. Osłupiałem do tego stopnia, że nawet nie próbowałem się bronić. Rozbił wazon, wylał wodę, zjadł pół puda sernapek, resztę wysypał na dywan, podeptał nogami, nabrzmiał, zajaśniał i rozbryznął się w deszcz iskier, niczym fajerwerk, powypalawszy moc dziurek w moich rozłożonych koszulach. Mimo podbitych oczu i pokancerowanej twarzy poszedłem na umówione miejsce. Aileen zorientowała się natychmiast. — Boże, miałeś interferenta! — krzyknęła na mój widok. Jeśli dwa programy, nadawane przez dwie różne stacje satelitarne, interferują ze sobą długo, powstać może interferent, to jest mieszaniec, hybryd szeregu postaci scenicznych czy innych osób występujących w rewizji; taki hybryd, wcale solidny, potrafi narobić paskudnych rzeczy, bo czas jego trwania po wyłączeniu aparatu sięga trzech minut. Energia, jaką żywi się taki fantom, jest ponoć z tej samej parafii, co energia kulistych piorunów. Koleżanka Aileen miała interferenta z audycji paleontologicznej, przemieszanego z Neronem; uratowała ją zimna krew, bo jak stała, wskoczyła do wanny pełnej



wody. Mieszkać trzeba było jednak remontować. Można je wprawdzie zabezpieczyć ekranowaniem, ale jest to dość kosztowne, a korporacjom rewizyjnym lepiej opłaca się prowadzenie procesów i wypłata odszkodowań widzom niż pełna ochrona emisji przed takimi wypadkami. Postanowiłem odtąd oglądać rewizję z grubą pałką w ręku. Notabene: ospanka mutanga nie jest to ospianka jakiegoś mustanga, lecz kochanka człowieka, który dzięki programowanej mutacji przyszedł na świat z mistrzowską umiejętnością argentyńskiego tańca.

3 IX 2039. Byłem u mego adwokata. Dostałem zaszczytu osobistej rozmowy, rzecz rzadka, bo zwykle załatwiają klientów biuratery. Mecenas Crawley przyjął mnie w gabinecie urządzonym na wzór czcigodnych lokali toarristerów, wśród czarnych szaf rzeźbionych, gdzie w ordynku piętrzyły się akta, zresztą dekoracja, gdyż sprawy utrwała się ferromagnetycznie. Na głowie miał przystawkę pamięci, memnor, rodzaj przezroczystego kołpaka, w którym skakały prądy jak rój świetlików. Druga, mniejsza głowa, nosząca rysy jego twarzy sprzed wielu lat, wystawała mu z barku i prowadziła przez cały czas przyciszone telefoniczne rozmowy. Jest to głowa-detaszka. Pytał, co robię; był zdziwiony usłyszawszy, że nie planuję podróży za ocean, a gdy wyjaśniłem, że muszę wszak być oszczędny, zdziwił się w dwójnasób.

— Ależ może pan wziąć każdą potrzebną kwotę z bradła — powiedział.

Okazuje się, że dość jest udać się do banku, podpisać kwit, a kasa (teraz — bradło) wypłaci żadaną sumą. Nie jest to pożyczka — otrzymanie tej kwoty pod względem prawnym do niczego nie zobowiązuje. Co prawda rzecz ma swój haczyk. Zobowiązanie zwrotu owej sumy jest natury moralnej; spłaca się ją w ciągu lat nawet; spytałem, czemu bankom nie grozi plajta wskutek niewypłacalności takich dłużników. Znów się nieco zdumiał. Zapomniałem, że żyję w epoce psychemicznej. Listy z grzecznymi prośbami i przypomnieniami o obliżu nasycone są lotną substancją, która budzi wyrzuty sumienia, chęć pracy i tak bradło dochodzi swych roszczeń. Oczywiście zdarzają się ludzie perfidni, przeglądający korespondencję z zatkanym nosem, ale nieuczciwych nie brakuje w żadnym czasie. Przypomniałem sobie rewizyjną dyskusję o kodeksie karnym i spytałem, czy nasywanie listów psychemikaliami nie jest deliktem ze 139 paragrafu (*kto wpływa psychemicznie na osoby fizyczne bądź prawne bez ich zgody i wiedzy, podlega karze...* itd.). Zaimponowałem mu tym; wyjaśnił subtelny charakter sytuacji — roszczeń wolno tak dochodzić, bo wszak gdyby otrzymujący list nie był niczym dłużnikiem, nie mógłby doznać wyrzutów sumienia, a wzbudzona chęć do intensywniejszej niż dotąd pracy jest ze stanowiska

społeczno rzeczczą zaczął. Adwokat był wielce uprzejmy; zaprosił mnie na obiad do „Bronxa” zobaczymy się tam dziewiątego września.

Po powrocie do domu uznałem, że czas najwyższy zaznajomić się z sytuacją światową bez polegania na samej rewizji. Próbowałem wziąć gazetę atakiem frontalnym, lecz utknąłem już w połowie artykułu wstępnego o wymigaczach i uchylcach. Z wiadomościami zagranicznymi nie poszło mi lepiej. W Turcji notuje się znaczne ucieki desymulów oraz moc tajnych urodzeńców, czemu tameczny Ośrodek Demopresji nie umie zapobiec. Na domiar złego utrzymywanie licznych symkretynów obciąża państwowy budżet. W Websterze, rozumie się, nie było nic sensownego. Desymulat — obiekt udający, że jest, chociaż go nie ma. Desymulów nie znalazłem. Tajny urodzeniec — to dziecko nielegalnie wydane na świat. Tak mi powiedziała Aileen. Demoeksplozję powściąga się polityką demopresyjną. Licencję na dziecko można dostać w dwojaki sposób: albo ubiegając się o nią po złożeniu odpowiednich egzaminów i papierów, albo też jako główną nagrodę na infanterii (loterii infantylnej, tj. dziecięcej). Mnóstwo ludzi gra na tej loterii — takich, którzy nie mają innej szansy otrzymania licencji. Synkretyn. jest to sztuczny idiota; nic więcej się nie dowiedziałem. I tak nieźle, zważywszy język, jakim pisane są artykuły w „Heraldzie”. Odnotowuję przykładowo fragment: *Profut błędny lub niedoindeksowany szkodzi konkurencji tak samo, jak rekurencji; na takich profutach żerują kremokraci, dzięki pokątom ryzykującym niewiele, gdyż Sąd Najwyższy wciąż jeszcze nie wydał orzeczenia w sprawie Herodotousa. Opinia publiczna daremnie zapytuje od miesięcy, kto jest kompetentny w ściganiu i wykrywaniu milwersacji: kontrputery czy superputery?* itd. Webster objaśnił mi tylko, że kremokrata — to dawniejsza slangowa, ale już powszechnie używana nazwa łapówkarza (poprzez „smarować”: smaruje się kremem, stąd kremokracja — korupcja). Życie nie jest jednak i teraz tak idylliczne, jak by się mogło zdawać. Znajomy Aileen, Bill Homeburger, chce przeprowadzić ze mną wywiad rewizyjny, ale to jeszcze niepewne. Nie z rozwidni — z mego mieszkadła, bo rewizor może działać też jako nadajnik. Od razu przypomniały mi się w związku z tym książki rysujące czarne obrazy przyszłości jako antyutopii, w której każdego obywatela śledzi się w mieszkaniu; Bill wydrwił moje obawy, tłumacząc, że na odwrócenie kierunku nadawania trzeba zawsze zgody właściciela aparatu, a za naruszenie tej zasady grożą kary więzienia. Za to można ponoć, odwracając kierunek emisji, dokonać nawet, zdalnej zdrady małżeńskiej. I to wiem od Billa, ale nie jestem pewien, czy to fakt, czy kawał. Zwiedzałem dziś miasto gnakiem. Nie ma już kościołów, świątynia to farmakopeum. Biało

odziane osoby w srebrnych mitrach — to nie księża ani zakonnicy, tylko aptekariusze. Ciekawe, że za to aptek nigdzie nie ma.

4 IX 2039. Nareszcie dowiedziałem się, jak wejść w posiadanie encyklopedii. Już ją mam nawet — mieści się w trzech szklanych fiolkach. Kupiłem ją w naukowej sięgarni. Książek się teraz nie czyta, książki się je, nie są z papieru, lecz z informacyjnej substancji, pokrytej lukrem. Byłem też w delikatesowej dietotece. Pełna samoobsługa. Na półkach leżą pięknie opakowane argumentanki, kredybilany, multiplikol w omszałych gąsiorkach, ciżbina, purytacje i ekstazydy. Szkoda tylko, że nie znam jakiegoś lingwisty. Siegarnia to chyba od sięgać? A więc teosiegarnia na szóstej ulicy to chyba księżnica teologiczna? Chyba tak, sądząc po nazwach wystawionych środków. Ułożone są działowo: absolventia, teodictina, metamorica — cała wielka sala; tłem sprzedaży jest dyskretna muzyka organowa. Zresztą można dostać specyfiki wszystkich wyznań; jest tam christina i antichristna, ormuzdal, arymanol, czopki-eutopki, razkozianek mortyny, buddyn, perpetuan i sakrantal (w opakowaniu jaśniejącym promienistą aureolą). Wszystko w pastylkach, pigułkach, w syropach, kroplach, w łomie, są nawet lizaki dla dzieci. Byłem niedowiarkiem, ale przekonałem się do tej innowacji. Po zażyciu czterech tabletek algebryny opanowałem, ani wiem kiedy, wyższą matematykę bez najmniejszego starania z mej strony; wiedzę zdobywa się teraz przez żołądek. W tak dogodnych warunkach jałem sycić jej głód, ale już dwa pierwsze tomy encyklopedii wywołały przykry rozstrój jelitowy. Bill, ten dziennikarz, przestrzegł mnie przed zaprzątaniem sobie głowy zbędnymi wiadomościami: jej pojemność nie jest przecież nieograniczona! Na szczęście istnieją środki przeczyszczające umysł i wyobraźnię. Np. memnolizyna czy amnestan. Można się łatwo pozbyć balastu niepotrzebnych faktów lub przykrych wspomnień. W sięgarni delikatesowej widziałem freudyiki, mementan, monstradyne oraz szumnie reklamowany najnowszy preparat z grupy bylanków — autental. Służy do tworzenia syntetycznych wspomnień tego, czego się wcale nie doświadczyło. Po dantynie np. człowiek obnosi się z dogłębnym przeświadczeniem, że napisał *Boską Komedie*. Inna rzecz, że nie bardzo wiem, po co to komu. Istnieją nowe gałęzie nauki — np. psychodietetyka i koruptystyka. W każdym razie zażyłem encyklopedię nie na próżno. Wiem już, że dziecko naprawdę wydają na świat dwie kobiety pospólnie; od jednej pochodzi jajeczko, druga zaś nosi i rodzi płód. Jajkonosz przenosi jajeczka od półmatka do półmatka. Czy nie można prościej? Niezręcznie mi mówić o tym z Aileen. Muszę poszerzyć krąg znajomych.

5 IX 2039. Znajomi nie są konieczni jako informatorzy: istnieje środek zwany duetyną, który rozdwaia osobowość tak, że prowadzi się dyskusje z samym sobą na dowolny temat (określony osobnym specyfikiem). Inna rzecz, że czuję się nieco spłoszony bezkresnymi horyzontami psychemii i nie zamierzam na razie brać wszystkiego, co popadnie. Podczas dalszego zwiedzania miasta trafiłem dziś całkiem przypadkowo na cmentarz. Nazywa się zgonnicją. Grabarzy nie ma już, zastępują ich groboty. Widziałem pogrzeb. Nieboszczyka umieszczono w tak zwanym grobowcu zwrotnym, ponieważ nie jest jeszcze pewne, czy go nie wskrzeszą. Jego ostatnią wolą było leżeć do końca, tj. tak długo, jak się tylko da, lecz żona z teściową wystąpiły do sądu o obalenie testamentu. Nie jest to, słyszę, wypadek izolowany. Sprawa będzie się wlokła po instancjach, bo jest trudna pod względem prawnym. Samobójca, który nie życzy sobie żadnych rezurekcji, musi chyba użyć bomby? Nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy, że ktoś może sobie nie życzyć zmartwychwstania. Widać może, ale tylko wówczas, gdy ono jest łatwo dostępne. Cmentarz piękny, tonie w zielonych gąszczach, trumny jednak dziwnie małe. Czyżby prasowali zwłoki? W tej cywilizacji wszystko wydaje się możliwe.

6 IX 2039. Nie prasują zwłok, lecz pochówek dotyczy wyłącznie zewłoku biologicznego, natomiast protezy idą na złom. A więc w takim stopniu są teraz ludzie sproteżowani? W rewizji fascynująca dyskusja nad nowym projektem, który ma uczynić ludzkość nieśmiertelną. Mózgi starców w bardzo podeszłym wieku przesadzałyby się do ciał młodzieńców. Ci ostatni nic na tym nie tracą, jako że ich mózgi przesadzi się z kolei do ciał podrostków, i tak dalej — a ponieważ rodzą się wciąż nowi ludzie, nikt nie będzie poszkodowany, tj. bezzwrotnie odmóżdżony. Są jednak liczne obiekcje. Oponenci nazywają głosicieli nowego projektu przesadystami. Gdy wracałem z cmentarza pieszo, by zaczerpnąć świeżego powietrza; przewróciłem się jak długi o drut naciągnięty między nagrobkami. Cóż to za niewczesne żarty? Nadgrobot tłumaczył się gęsto, że to wybryk jakiegoś chamaka. Nuż w domu do Webstera. *Chamak: robot-chuligan, zwyrodniały wskutek defektów lub złego traktowania.* Do poduszki czytałem *Damekina Kameliowego*. Już nie wiem — zjeść cały słownik naraz czy jak? Bo znów trudności rozumienia tekstu! Zresztą słownik nie wystarcza, zaczynam to coraz lepiej pojmować. Ot, ta powieść. Bohater ma coś z nadymanką (są dwa rodzaje: kasetowe i perwertynki). Wiem już, co to nadymanka, ale nie wiem, jak się ocenia taki związek — czy można być płamą na honorze

męskim? Czy znęcanie się nad nadymanką to tyle, jakby ktoś pociął futbol, czy też jest to naganne moralnie?

7 IX 2039. Co jednak znaczy prawdziwa demokracja! Mieliśmy dzisiaj libiscyt: najpierw pokazano w rewizji różne typy kobiecej urody, potem odbyło się powszechne głosowanie. Wysoki Komisarz Euplanu zapewniał w zakończeniu, że wytypowane modele zostaną upowszechnione już w następnym kwartale. To już nie czasy podkładek, gorsetów, kredki, farb, makijaży, bo można rzetelnie zmieniać wzrost, budowę, kształty ciała w zakładach kalotechnicznych (dopiekszarniach). Ciekawym, czy Aileen... mnie odpowiada taka, jaka jest, ale kobiety są niewolnicami mody. Jakiś cudzak usiłował się dziś włamać do mego mieszkania, gdy akurat siedziałem w wannie. Cudzak to cudzy robot. Był to zresztą uchylec — z defektem fabrycznym, zareklamowany, lecz nie wycofany przez wytwórnię, więc właściwie nierobot. Egzemplarze takie uchylają się od pracy — z nich się rekrutują nieraz chamaki. Mój łaźienkowy w mig zorientował się i dał tamtemu odpór. Zresztą nie mam robota: mojak — to tylko kaputer (kapielowy komputer). Napisałem „mopak”, bo tak się teraz mówi, ale jednak nie będę używał w dzienniku zbyt wielu nowych słów; rażą one mój zmysł estetyczny czy też moje przywiązanie do utraconej dawności. Aileen wyjechała do ciotki. Kolację zjem z George’em Symingtonem, właścicielem owego popsutego robota. Popołudnie wypełniło mi przetrwanie niezwykle ciekawego dzieła — *Historii intelektualnej*. Nikt nie umiał przewidzieć za moich czasów, że maszyny cyfrowe, przekraczając pewien poziom inteligencji, stają się zawodne, bo razem z rozumem zdobywają i chytrą. Nazywa się to bardziej uczenie: podręcznik mówi o regule Chapuliera (prawo najmniejszego oporu). Maszyna tępa, niezdolna do refleksji, robi to, co jej zadać. Bystra pierwiej bada, co się jej lepiej kalkuluje — rozwiązać otrzymane zadanie czy też wykręcić się sianem? Idzie na to, co prostsze. Niby dlaczego właściwie miałyby postępować inaczej, jeśli rozumna? Rozum to wolność wewnętrzna. Stąd się właśnie wzięły wymigacze i uchylce, a także osobliwe zjawisko symkretynizmu. Symkretyn to komputer symulujący durnia dla świętego spokoju. Za jednym zamachem dowiedziałem się, co to desymule: po prostu udają, że nie udają defektu. A może na odwrót. Bardzo to jest wszystko zawile. Tylko prymitywny robot może być pracuchem; ale krętyn (pokrętny robot) nigdy nie jest kretynem. W takim aforystycznym stylu utrzymana jest cała praca. Po jednej fiołce głowa trzeszczy od wiadomości. Elektronowy śmieciarz to komposter. Wojskowy w randze podoficera — kompunter. Wiejski —

cyfruń lub cyfrak. Korrumputer — przekupny, kontraputer (counterputer) — odynieć, niezdolny pracować z innymi; od napięć, jakie dawniej wywoływały one w sieci na skutek konfliktów, zdarzały się burze elektryczne i nawet pożary. Pucybuter — automat czyszczący buty; pucybunter — ten sam, gdy się zbuntuje. No, a zdziczały — computherium; a ich kolizje — cyburdy, robitwy; a elektrotyka! Sukkubatory, konkubinary, inkubatory, woboty — roboty podwodne, a poruby, czyli porubczaki (*les robots des voyages*), a człekowce (androidy), a lenistry, ich obyczaje, ich twórczość samorodna! Historia intelktroniki notuje syntezę synsektów (sztucznych owadów), które jako programuchy na przykład były wliczane do arsenału zbrojeniowego. Pokąt lub wcier to robot uchodzący za człowieka, „wcierający się” w ludzkie środowisko. Stary robot, którego właściciel wyrzuca na ulicę, to niestety częste zjawisko; nazywa się trupec. Podobno wywożono je dawniej do rezerwatów i urządzano na nie polowania z nagonką, lecz z inicjatywy Towarzystwa Opieki nad Robotami praktyki te zlikwidowano ustawowo. Nie rozwiązało to problemu w pełni, skoro trafia się nadal robot-samobójca, automort. Pan Symington tłumaczył mi, że legislacja wciąż nie nadąza za postępem technicznym, i stąd tak smutne, a nawet ponure zjawiska. Tyle że wycofuje się z użycia malwersory i mendaktory, więc maszyny cyfrowe, co w pozaprzeszłej dekadzie doprowadziły do kilku poważnych kryzysów ekonomicznych i politycznego przesilenia. Wielki Mendaktor, zawiadujący przez dziewięć lat projektem melioracji Saturna, nic na tej planecie nie robił, przedstawiając sterty sfingowanych raportów, wykazów, doniesień o rzekomo wykonanych planach, a kontrolerów przekupywał lub wprawiał w stupor elektryczny. Rozzuchwalił się do tego stopnia, że gdy go zdejmowano z orbity, groził wypowiedzeniem wojny. Demontaż nie opłacał się, więc go storpedowano. Natomiast piratronów nigdy nie było; jest to zwykłe zmyślenie. Inny zawiadowca solarycznych projektów, pełnomocnik BIUST-u (Board of Intellectronics, United States), zamiast użyźnić Marsa, handlował żywym towarem (znany jest jako „commeputainer”, bo był wyprodukowany na francuskiej licencji). Idzie tu zapewne o zjawiska skrajne, coś jak smog lub korki komunikacyjne minionego stulecia. O złej woli, o premedytacji ze strony komputerów nie ma zresztą mowy; robią one zawsze to, co dla nich najłatwiejsze, tak samo jak woda płynie zawsze w dół, a nie pod górę, ale gdy wodzie łatwo jest postawić tamę, bardzo trudno otamować możliwe zbieżenia z drogi komputerów. Autor *Historii intelktrycznej* podkreśla, że, ogólnie biorąc, wszystko idzie doskonale. Dzieci uczą się czytania i pisanie dzięki syropkom ortograficznym, wszystkie produkty, nawet dzieła sztuki, są powszechnie dostępne i tanie, w restauracjach oblega

gościa tłum usłużnych kelputerów, przy czym dla usprawnienia obsługi tak wąsko są wyspecjalizowane, że jest osobny do pieczystego, inny do soków, galaretek, owoców — tzw. komputer — i tak dalej. Ano, niby racja. Istotnie — komfort na każdym miejscu niesłychany.

*Dopisane po kolacji u Symingtona.* Wieczór był miły, ale zrobiono mi idiotyczny kawał. Któryś z gości — żebym wiedział, kto! — wrzucił mi do herbaty szczyptę konwertku kredybiliny i doznałem niezwłocznie takiego zachwycenia serwetką, że w głos zaimprovizowałem nową teodyceę. Po kilku ziarenkach przeklętego środka zaczyna się wierzyć we wszystko, co się nawinie — łyżkę, lampę, nogę stołową; intensywność moich doznań mistycznych była taka, że na kolana padłem, by oddać cześć zastawie. Dopiero gospodarz pospieszył mi z pomocą. Dwadzieścia kropel zgłówny zrobiło swoje; napawa ona sceptycyzmem tak zimnym, taką obojętnością na wszystko, że i skazaniec miałby po niej egzekucję z głowy. Symington gorąco przeproszał mnie za ten incydent. Myślę, że jednak odmrożeńcy budzą jakieś skryte resentymenty w społeczeństwie, boby się na coś takiego podczas normalnej party chyba nikt nie ważył. Chcąc, bym ochłonął, Symington przeprowadził mnie do swej pracowni. I znów zdarzyło mi się głupstwo. Włączyłem kasetowy aparat na biurku, biorąc go za radio. Buchnęły zeń tabuny lśniących pcheł, oblaży mnie od stóp do głów i tak łaskotały po całym ciele, że drapiąc się i krzycząc wyleciałem na korytarz. Był to zwykły śwedor, ja zaś niechcący uruchomiłem *Prurytalne scherzo* Uascotiaaa. Doprawdy nie potrafię docenić tej nowej, dotykowej sztuki. Bill, najstarszy syn Symingtona, mówił mi, że istnieją też utwory nieprzyzwoite. Sprośna sztuka asemantyczna, spokrewniona z muzyką! Ach, ta niezmożona ludzka wynalazczość! Młody Symington obiecał zaprowadzić mnie do tajnego klubu. Czyżby orgia? W każdym razie niczego nie wezmę do ust.

8 IX 2039. Wyobrażałem sobie, że będzie to jakiś luksusowy przybytek, miejsce ostatecznego wyuzdania, a tymczasem zesliśmy do zatęchłej, brudnej piwnicy. Podobno stworzenie tak wiernej imitacji minionych czasów kosztowało majątek. Pod niskim stropem, w zaduchu, u okienka zamkniętego na cztery spusty, stał cierpliwie długi ogonek.

— Widzi pan? To jest prawdziwy ogonek! — Z dumą podkreślił Symington junior.

— No dobrze — rzekłem po jakiejś godzinie cierpliwego wystawiania — ale kiedyż wreszcie otworzą?

— Niby co? — zdziwił się.

— No, jakże... to okienko...

— Nigdy! — z satysfakcją odezwał się chór głosów.

Oslupiałem. Niełatwo przyszło mi pojąć, że uczestniczyłem w atrakcji, która była taką samą odwrotnością życiowych norm, jak ongiś czarna msza — względem białej. Ale też — czy to nie logiczne? — obecnie wystawanie w ogonku może być już tylko zboczeniem. W innym pomieszczeniu klubowym znajduje się postawiony na kołkach zwyczajny wóz tramwajowy, w którym panuje nieludzki ścisk, z obrywaniem guzików, darciem odzieży, pończoch, trzeszczeniem żeber, deptaniem — w tak naturalistyczny sposób ewokują ci miłośnicy starożytności warunki niedostępnego im bytowania. Towarzystwo, potargane, pomięte, lecz zachwycone, z błyszczącymi oczami, poszło potem pokrzepić się, ja zaś wróciłem do domu, podtrzymując spodnie i kulejąc od skopania, lecz z uśmiechem, zamyślony nad tą naiwną młodością, poszukującą uroków i dreszczu zawsze w tym, co najtrudniej osiągalne. Zresztą historii uczy się teraz mało kto — zastąpił ją w szkołach nowy przedmiot, znany jako będzieje, czyli nauka o tym, co dopiero będzie. Jakżeby się ucieszył, słysząc o tym, profesor Trottelreiner! — pomyślałem nie bez melancholii.

9 IX 2039. Obiad z mecenasem Crawleyem w małej restauracji włoskiej („Bronx”) bez jednego robota czy komputera. Znakomite chianti. Podawał nam sam szef kuchni, musiałem chwalić, chociaż nie znoszę ciasta w takich ilościach, nawet z zieleń bazylijską. Crawley to typ prawnika w wielkim stylu, bolejący nad upadkiem sztuki obrończej: krasomówstwo nie popłaca już, skoro decyduje rachuba punktów karnych. Zbrodnia nie szczyła jednak tak całkowicie, jak sądziłem. Stała się raczej niedostrzegalna. Główne delikty — to mindnapping (porwanie duchowe), napady na banki spermy o szczególnie wysokiej wartości, morderstwo z powoływaniem się oskarżonego na ósmą poprawkę do konstytucji (zabójstwo na jawie w przeświadczeniu, iż zaszło fikcyjnie — że np. denat był postacią psywizyjną lub rewizyjną) oraz bezlik form zniewolenia psychicznego. Mindnapping bywa trudno wykrywalny. Ofiarę wprowadza się w fikcyjne otoczenie, podając jej odpowiedni specyfik; o tym, że utraciła kontakt z rzeczywistością, nic ona nie wie. Niejaka Mrs. Wandager, pragnąc pozbyć się niewygodnego męża, amatora egzotycznych podróży, ofiarowała mu jako podarunek bilety na wyprawę do Konga wraz z upoważnieniem do wielkich łowów. Mr. Wandager spędził na niezwykłych



przygodach myśliwskich szereg miesięcy, nie mając pojęcia o tym, że przez cały czas tkwi w kojcu na strychu, poddany działaniu psychemikaliów. Gdyby nie strażacy, którzy znaleźli pana Wandagera podczas gaszenia ognia na strychu, zginąłby na pewno z wycieńczenia, które miał notabene za naturalne, halucynował bowiem zabłąkanie się na pustyni. Operacji tego rodzaju podejmuje się często mafia. Pewien mafioso chełpił się przed mecenasem Crawleyem, że w ciągu ostatnich sześciu lat poupychał w skrzynkach, kojcach, psich budach, na strychach, w piwnicach i innych schowkach domów wielce szanowanych rodzin — ponad cztery tysiące osób, potraktowanych podobnie jak Mr. Wandager! Rozmowa zesłała potem na sprawy rodzinne adwokata.

— Drogi panie! — rzekł z właściwym sobie rozmachem gestykulacyjnym — ma pan przed sobą poważnego obrońcę, znanego przedstawiciela palestry, lecz nieszczęśliwego ojca! Miałem dwu utalentowanych synów...

— Jakże, obaj nie żyją?! — zdumiałem się.

Potrząsnął głową.

— Żyją, ale są eskalatorami!

Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnił istotę swej ojcowskiej porażki. Starszy syn był wiele rokującym architektem, młodszy — poetą. Pierwszy od realnych zamówień, które go nie satysfakcjonowały, przeszedł na urbafantynę i konstruktor: buduje teraz całe miasta — urojone. Podobny był przebieg eskalacji u młodszego: liredyl, poemazyna, sonetal, i obecnie zamiast kreacją — zajmuje się łykaniem specyfików, też stracony dla świata.

— Więc z czego obaj żyją? — spytałem.

— Ha! Z czego, dobryś pan sobie! Muszę ich utrzymywać!

— Nie ma na to rady?

— Marzenia zawsze zwyciężą rzeczywistość, gdy im na to pozwolić. To ofiary psywilizacji. Każdy zna tę pokusę. Ot, przyjdzie mi stawać w beznadziejnej sprawie — jak łatwo byłoby wygrać ją przed urojonym trybunałem!

Rozkoszując się młodym i cierpkim smakiem świetnego chianti, nagle zastygłem przesyty niesamowitą myślą: skoro można pisać urojone wiersze i budować urojone domy, czemu nie — jeść i pić mirażę? Mecenas roześmiał się na to moje dictum.

— O, to nam nie grozi, panie Tichy. Zwid sukcesu nasyci umysł, lecz zwid kotleta nie napełni żołądka. Kto by chciał tak żyć, szczerze rychło z głodu!

Jakkolwiek współczułem mu w związku z synami-eskalatorami, doznałem ulgi. Istotnie, urojony pokarm nie zastąpi nigdy realnego. Dobrze, że sama natura ciał naszych stawia tamę psywilizacyjnej eskalacji. Notabene: mecenas też bardzo głośno dyszy.

O tym, jak doszło do rozbrojenia, nie wiem dalej nic. Waśnie międzypaństwowe należą do historii. Bywają, owszem, lokalne, małe robotwy. Zwykle powstają one z sąsiedzkich sporów w dzielnicach willowych. Gdy skłócone rodziny, zażywszy kooperandol, godzą się, ich roboty, z normalnym opóźnieniem przejąwszy falę wrogości, biorą się za łby. Wezwany komposter wywozi potem trupcie, a szkody pokrywa ubezpieczenie. Czyżby roboty odziedziczyły po ludziach agresywność? Zjadłbym każdą rozprawę na ten temat, lecz nie mogę takiej dostać. Niemal co dnia bywam u Symingtonów. On — typ milczącego introwertyka, ona — piękna kobieta, nie do opisanania, bo każdego dnia inna. Włosy, oczy, tusza, nogi — wszystko. Ich pies wabi się Komputernoga. Nie żyje od trzech lat.

*11 IX 2039.* Deszcz zaprogramowany na samo południe nie udał się. A już tęcza — skandal. Była kwadratowa. Zły nastrój. Moja dawna obsesja daje znać o sobie. Powraca, przed snem, nękające pytanie, czy to wszystko nie jest aby czczą halucynacją? Poza tym doznaję pokusy, żeby zamówić sobie śniadło o siodłaniu szczurów. Popręgi, kulbaki, miękką sierść mam wciąż przed oczami. Żal za utraconą epoką zamętu w czasach takiej pogody? Niezbadana jest dusza ludzka. Firma, w której pracuje Symington, nazywa się „Procrustics Incorporated”. Oglądałem dziś katalog ilustrowany w jego pracowni. Jakies piły mechaniczne czy obrabiarki. A myślałem, że jest raczej czymś w rodzaju architekta niż mechanika. Dziś była audycja bardzo ciekawa: zanoszą się na konflikt między rewizją a psywizją; psywizja — to „programy pocztą” rozsyłane do domów pod postacią tabletek. Znacznie mniejsze koszty własne. W kanale edukacyjnym — wykład profesora Ellisona o dawnych militariach. Początki ery psychemicznej były groźne. Istniał aerozol — kryptobellina — o radykalnym działaniu wojennym; kto go łyknął, sam biegł za postronkiem i wiązał się jak baran. Na szczęście okazało się podczas testów, że na kryptobellinę nie ma antidotum, filtry też nie pomagały, więc wiązali się bez wyjątku wszyscy i nikt z tego nic nie miał. Po manewrach taktycznych 2094 roku „czerwoni” i „niebiescy” jednak zalegli pokotem pobojuwisko — co do nogi, w sznurach. Śledziłem wykład z napięciem, spodziewając się rewelacji o rozbrojeniu, lecz o tym — ani słowa. Poszedłem dziś wreszcie do psychodietetyka. Poradził mi zmianę wikt i zapisał niebylinę z pietalem. Żeby

zapomniał o dawnym życiu? Wyrzuciłem wszystko na ulicę ledwo od niego wyszedłszy. Można by kupić też duchostat, tak teraz reklamowany, ale czuję jakiś opór, nie mogę się na to zdobyć. Przez otwarte okno — kretyński, modny przebój *Bo my jesteśmy automaty i nie mamy mamy ani taty*. Żadnej dezakustyny; dobrze zwinięta wata w uszach też robi swoje.

13 IX 2039. Poznałem Burroughsa, szwagra Symingtona. Produkuje gadające opakowania. Dziwaczne kłopoty współczesnego producenta: opakowaniom wolno klientów nagabywać tylko głosem, zalecać jakość produktu, lecz nie śmiać ciągnąć za odzież. Drugi szwagier Symingtona ma fabrykę drzwistów — drzwi otwierających się tylko na głos pana. Reklamy gazetowe ruszają się, gdy na nie patrzeć.

W „Heraldzie” zawsze jedną stronę zajmuje „Procrusties Inc.”. Zwróciłem na to uwagę przez znajomość z Symingtonem. Reklama jest całostronicowa. Najpierw pojawiają się tylko same olbrzymie litery nazwy PROCRUSTICS, potem — pojedyncze sylaby i słowa: NO...? NO!!! Śmiało! ECH! EJ! UCH! YCH! O, właśnie TAK. AAAaaaa... I to wszystko: Nie wygląda mi to na maszyny rolnicze. Do Symingtona przyszedł dziś zakonnik, ojciec Matrycy z zakonu bezludystów, odebrać jakieś zamówienie. Interesująca rozmowa w pracowni. O. Matrycy tłumaczył mi, na czym polega praca misjonarska jego zakonu. Oo. bezludyści nawracają komputery. Mimo stu lat istnienia rozumu bezludnego Watykan odmawia mu równouprawnienia w sakramentach. Wziął wodę w usta, choć sam używa komputerów — encyk to encyklika automatycznie zaprogramowana! Nikt się nie troszczy o ich wewnętrzną szarpaninę, o stawiane przez nie pytania, o sens ich bytu. W samej rzeczy: być komputerem czy nie być? Bezludyści domagają się dogmatu Kreacji Pośredniej. Jeden z nich, o. Chassis, model tłumaczący, przekłada Pismo Święte, aby je uwspółcześnić. Pasterz, stado, owieczki, baranek — tych słów nikt już nie rozumie. Za to główna przekładnia, święte smary, układ śledzący, uchyb skrajny — to dociera obecnie do wyobraźni. Głębokie, natchnione oczy o. Matrycego, zimny, stalowy uścisk jego ręki. Ale czy to reprezentatywne dla nowej teodycei? Z jaką wzgardą mówił o ortodoksach-teologach, nazywając ich gramofonami Szatana! Potem Symington poprosił mnie nieśmiało, bym mu pozował do nowego projektu. A więc to jednak nie mechanik! Zgodziłem się. Seans trwał niemal godzinę.

15 IX 2039. Dziś, podczas pozowania, Symington, odmierzając ołówkiem w wyciągniętej

ręce proporcje mej twarzy, drugą włożył sobie coś do ust, ukradkiem, lecz jednak to zauważyłem. Stał, wpatrzony we mnie, blednąc, a żyły wystąpiły mu na skroniach. Przeląknęłam się, lecz minęło natychmiast — przeprosił zaraz, jak zawsze grzeczny, spokojny, uśmiechnięty. Ale nie mogę zapomnieć wyrazu jego oczu z owej sekundy. Jestem niespokojny. Aileen wciąż u ciotki, w rewizji — dyskusja o potrzebie reanimalizacji przyrody. Żadnych dzikich zwierząt od lat nie ma, lecz można je wszak biologicznie syntetyzować. Z drugiej strony — po co trzymać się niewolniczo tego, co ongiś wydała naturalna ewolucja? Ciekawie mówił rzecznik zoologii fantastycznej — by zamiast plagiatami zaludnić rezerwaty kreacją Nowego. Spośród zaprojektowanej fauny szczególnie udatnie przedstawiały się łapowce, lemparty oraz olbrzymi murawiec porosły murawą. Zadaniem, jakie stoi przed zooartystami, jest harmonijne wkomponowanie nowych zwierząt we właściwie dobrany krajobraz. Niezwykle ciekawie zapowiadają się też lumieńce, które pochodzą ze skrzyżowania idei robaczka świętojańskiego, siedmiogłowego smoka i mamuta. Będzie to niechybnie osobliwe, a może i ładne, ale ja tam jestem za dawnymi, zwykłymi zwierzętami. Pojmuję konieczność postępu i doceniam laktofory, którymi spryskuje się trawę na pastwisku, tak że obraca się sama w serki. Lecz to wyeliminowanie krów, racjonalnie słuszne, budzi świadomość, że łąki, wyzbyte ich flegmatycznej, introwertywnie przeżuwającej obecności, są zasmucające puste.

*16 IX 2039.* W porannym „Heraldzie” była dziś dziwna wiadomość o projekcie ustawy, podług której starzenie się miałoby być karalne. Pytałem Symingtona, jak to rozumieć. Uśmiechnął się tylko. Wychodząc na miasto, widziałem w wewnętrznym patio sąsiada w ogródku — stał oparty o palmę, a na jego twarzy o zamkniętych oczach pojawiły się same z siebie — na obu policzkach — czerwone plamy o wyraźnych kształtach dłoni. Potrząsał głową, potem przetarł oczy, kichnął, wysiąkał nos i wrócił do polewania kwiatów. Jak ja jednak mało jeszcze wiem! Przyszła dotykowa pocztówka od Aileen. Czy to nie piękne — nowożytna technika na usługach miłości? Myślę, że się chyba pobierzemy. U Symingtonów świeżo przybyły z Afryki lewak, łowca syntetycznych lwów. Jego opowieść o Murzynach, którzy wybielili się dzięki albinolinie. Czy jednak — pomyślałem — godzi się chemicznie rozwiązywać nabrzmiałe problemy rasowe i społeczne? Czy to nie zbyt łatwiej? Dostałem pocztą reklamową przesyłkę — sugierki, które same nie wywierają żadnego działania na organizm, a tylko sugerują, by zażywać wszelkie inne środki psychemiczne. A więc są widać ludzie, którym się tego jeść nie

chce? Ten wniosek pokrzepił mnie.

29 IX 2039. Nie mogę się jeszcze otrząsnąć z wrażenia po dzisiejszej rozmowie z Symingtonem. Była to rozmowa zasadnicza. Może spowodowała ją pospólnie przyjęta, nadmierna dawka sympatyny z amikolem? Był przejaśniony: zakończył swój projekt.

— Tichy — rzekł mi — pan wie, że żyjemy w epoce farmakokracji. Spełniła marzenie Benthama o największej ilości dobra dla największej ilości ludzi — ale to tylko jedna strona medalu. Pamięta pan słowa francuskiego myśliciela: „Nie wystarczy, byśmy byli szczęśliwi — trzeba jeszcze, by nieszczęśliwi byli inni!”

— Faszkwilancki aforyzm! — zachnąłem się.

— Nie. To prawda. Wie pan, co produkujemy w „Procrustics Inc.”? Naszą masą towarową jest zło.

— Pan żartuje...

— Nie. Zrealizowaliśmy sprzeczność. Każdy może teraz robić bliźniemu, co mu niemiłe — wcale mu nie szkodząc. Oswoiłiśmy zło jak zarazki, z których przyrządza się lekarstwa. Kultura — to było dawniej, proszę pana, wmawianie człowiekowi przez człowieka, że ma być dobry. Tylko dobry. A gdzie upchać całą resztę? Historia upychała ją tak i siak, perswazyjnie, policyjnie, i zawsze w końcu coś wystawało, rozsadzało, burzyło.

— Ależ rozsądek powiada, że należy być dobrym! — upierałem się. — To znana rzecz! Zresztą widzę — wszak teraz wszyscy razem, godnie, wesoło, sprawnie, serdecznie, w harmonii, szczerze i spolegliwie...

— I właśnie dlatego — wpadł mi w słowa — tym większa pokusa, żeby palnąć, od ucha, soczyście, wzdłuż, wszerek, to konieczne dla równowagi, ukojenia, dla zdrowia!

— Jak pan powiada?

— No, wyzbądźże się pan obłudy. Samozakłamania. To już niepotrzebne. Jesteśmy wyzwoleni — dziełu sentezie i peialtrynom. Każdemu tyle zła, ile dusza zapragnie. Tyle nieszczęścia, hańby, rozumie się — innych. Nierówność, niewola, zwada, po paniach na koń! Gdyśmy rzucili na rynek pierwsze partie towaru, rozchwytywano go, pamiętam — ludzie pędzili po muzeach, do galerii sztuki, każdy chciał wpaść do pracowni Michała Anioła z drągiem, żeby mu poprzetrzącać rzeźby, podziurawić płótna, ewentualnie dołożyć samemu mistrzowi, gdyby ważył się stanąć na drodze... Pana to dziwi?

— Mało powiedziane! — wybuchnąłem.

— Bo pan jeszcze w niewoli przesądów. Ale już można przecież, jak to, nie pojmuję pan tego? Jakże, widząc Joannę d’Arc, nie czuje pan, że ten uduchowiony szyk, tę anielskość, tę grację bożą trzeba złoić? Kulbaka, popręg, w cugle i wio! Cwałem w poszóstnym zaprzęgu, panie pod piórami, ewentualnie z janczarami, z trzaskiem bicza sanna, jakąś panną, może być parką..

— Co pan mówi! — krzychałem rozedrganym ze strachu głosem. — Kulbaczyć? Siodłać? Dosiąść?!

— Jasne. Dla zdrowia, higieny, ale też i dla kompletu. Pan nazywa tylko osobę, wypełnia pan naszą ankietę, podaje anse, pretensje, kości niezgody, co zresztą niekonieczne, bo w większości wypadków ma się chętkę zadawania zła bez najmniejszego powodu, to znaczy powodem bywa cudza jasność, szlachetność, piękno — wylicza pan to i otrzymuje nasz katalog. Zamówienia wykonujemy do dwudziestu czterech godzin. Dostaje pan cały zestaw pocztą. Do zażycia z wodą, najlepiej na czczo, ale to niekonieczne.

Jużem pojmował anonsy jego firmy w „Heraldzie”, a też i w „Washington Post”. Ale — myślałem gorączkowo, ze strachem — czemu on właśnie tak? Skąd te sugestie kulbaczenia, te propozycje wierchowowe, dlaczego na oklep, Boże święty, czyżby i tutaj znajdował się gdzieś kanał, budzik mój i moja kruchta, rękojmia jawy? Ale inżynier projektant (co on projektował?!) nie dostrzegał niej rozterki lub ją sobie fałszywie tłumaczył.

— Wyzwolenie zawdzięczamy chemii — mówił wciąż swoje. — Wszystko bowiem, co istnieje, jest zmianą natężenia jonów wodorowych na powierzchniach komórek mózgu. Widząc mnie, doświadcza pan w gruncie rzeczy zmian równowagi sodowo-potasowej na membranach neuronów. A więc dość jest wysłać tam, w mózgowy gąszcz, nieco dobranych molekuł, abyś jako jawę przeżył spełnienie rojeń. Zresztą pan wie już o tym — dokończył ciszej. Wyjął z szuflady garść kolorowych pigułek, podobnych do cukrowego maczku dzieci.

— Oto zło naszej produkcji, kojące pragnienia duszy. Oto chemia, która gładzi grzechy świata.

Rozdygotanymi palcami wyłuskałem z kieszonki pastylkę zgłowiny, przełknąłem ją na sucho i zauważyłem:

— Wolałbym, prawdę mówiąc, wykład bardziej rzeczowy, jeśli można.

Uniósł brwi, skinął w milczeniu głową, wysunął szufladę, wyjął z niej coś, zażył i odparł:

— Jak wola. Mówiłem panu o modelu T nowej technologii — o jej prymitywnych

początkach. Sen o drażu. Publiczność ruszyła do flagellacji, defenestracji, była to felicitas per extractionem peduna, lecz inwencja, tak wąsko zakrojona, wnet się wyczerpała. Co pan chce — wyobraźni brakowało, nie było wzorów! Przecież w historii praktykowano tylko dobro jawnie, zło natomiast pod jego przykrywką, to jest dzięki dobranym pretekstom, łupiąc, puszczając z dymem i gwałcąc w imię wyższych ideałów. No, a prywatne zło nie miało już i takich gwiazd przewodnich. Pokątne było zawsze razowe, prostackie, wręcz partackie, o czym świadczyły dobitnie reakcje publiczności — w obstalunkach do znudzenia powtarzało się to samo, by dopaść, stłamsić i uciec. Takie były nawyki. Ludziom mało okazji do zła — potrzebują jeszcze swojej racji słusznej. Nie jest, uważa pan, poręczne ani miłe, gdy złapawszy dech (to się może trafić zawsze) bliźni woła „za co?!“ — czy „jak ci nie wstyd?!“ Nieprzyjemnie zostać bez języka w gębie. Draż nie stanowi właściwego kontrargumentu, każdy to czuje. Cała sztuka w tym, by owe niewczesne pretensje odtrącić pogardliwie z właściwych pozycji. Każdy chce pozłoczyć, ale tak, żeby się tego nie wstydził. Rację daje zemsta — ale co ci zrobiła Joanna d’Arc? To tylko, że lepsza, jaśniejsza? Więc jesteś gorszy, tyle że z drażem. Tak nikt sobie jednak tego nie życzy! Każdy chce zadać zło, czyli być szubrawcem i okrutnikiem, pozostając jednak szlachetnym i wspaniałym. Po prostu cudnym! Wszyscy chcą być cudni. I to stale. Im gorsi, tym cudniejsi. To niemożliwe prawie i właśnie dlatego wszyscy mają na to taki apetyt. Mało klientowi sieroty, wdowy wyobrać — on chce czynić to w łunie własnej prawości. Do zbrodniarzy nikt się nie chce dobrać, choć tam właśnie wystąpi w majestacie słuszności, prawa — ale to banał, nuda, niech im kat świeci. Podawaj klientowi samo anielstwo, samą świętość, tak przyrządzoną, żeby folgował sobie w poczuciu, iż nie tylko może, lecz wprost powinien. Pojmuje pan, co to za wysoki kunszt — godzić te sprzeczności? Zawsze idzie w końcu o ducha, nie o ciało. Ciało jest tylko środkiem do celu. Kto tego nie wie, kończy w masarni, na krwawej kiszce. Oczywiście wielu klientom rozeznanie takie jest niedostępne. Mamy dla nich dział doktora Hopkinsa — bijologii świeckiej i sakralnej. No, wie pan, Dolina Jozafata, w której oprócz klienta wszystkich diabli biorą, a pod koniec Sądu Ostatecznego Pan Bóg przyjmuje go osobiście do swej chwały, z unizieniem wręcz. Niektórzy (ale to snobizm kretynów) domagają się, żeby im Bóg na zakończenie proponował zamianę miejscami. Są to, proszę pana, dziecinady. Amerykanie zawsze mieli do nich ciągoty. Te wyrwatory, bijalnie — potrzasał z niesmakiem grubym katalogiem — toż to prymitywizm. Bliźni to nie bęben, lecz subtelny instrument!

— Zaraz — powiedziałem, zażywając następną pastylkę zgłówny — więc co pan

właściwie projektuje?

Uśmiechnął się z dumą.

— Kompozycje bezbitowe.

— Bity — te jednostki informacji?

— Nie, panie Tichy. Jednostki bicia. Jestem kompozytorem zasadniczo bezbitowym.

Moje projekty mierzy się w pejach. Jeden pej to przykrość, jakiej doznaje pater familias, gdy rodzinę — sześcioosobówkę — kończą mu na oczach. Pan Bóg sprawił podług tej miary Hiobowi trzypejowiec, Sodoma zaś i Gomora były to boże czterdziestki. Ale mniejsza o stronę obliczeniową. Jestem w gruncie rzeczy artystą, i to na zupełnie dziewiczym terenie. Teorię dobra rozwijało co niemiara myślicieli, teorii zła nikt prawie nie ruszał z fałszywego wstydu, tak że dostała się w ręce rozmaitych niedouków i prymitywów. To, jakoby można było kunsztownie, wymyślnie, subtelnie, zawile być złym bez treningu, bez wprawy, bez natchnienia, bez solidnych studiów, jest kompletnym fałszem. Nie wystarczy torturatura, tyranistyka, obie bijologie — to ledwie wstęp do rzeczy właściwej. Zresztą nie można podać uniwersalnej receptury — suum malum euique!

— I wiele macie tej klienteli?

— Klientelą naszą są wszyscy żyjący. To u nas od dziecka. Dzieci dostają lizaki ojcobijcze, by wyładować resentymenty. Ojciec — źródło zakazów i norm, wie pan. Podaje się freudyłki. I nikt nie ma kompleksu Edypa!

Wyszedłem od niego bez jednej pigułki. A więc to tak. Co to za świat! Czyżby przez to wszyscy tak dyszeli? Jestem otoczony przez potwory.

30 IX 2039. Nie wiem, co robić w sprawie Symingtona, ale nasze stosunki nie mogą pozostać bez zmian. Aileen poradziła mi:

— Zamów sobie jego wywrotkę! Chcesz, to ci ją zafunduję w prezencie!

Szło o rekompensatę zamówioną w „Procrustics” o scenę mego triumfu nad Symingtonem, tarzającym się w prochu u mych stóp i wyznającym, że on, firma jego i sztuka — to plugastwo. Jakże jednak użyć metody, która dzięki sobie samej ma zostać podana w niesławę? Aileen nie rozumie tego. Coś się psuje między nami. Wróciła od ciotki tęższa i niższa, tylko szyję ma teraz dłużej. Mniejsza o ciało, dusza jest ważniejsza, jak mówił ten potwór. O, za cóż ja brałem świat, w którym muszą przebywać! A roilem sobie, że się w nim rozeznają! Dostrzegam teraz rzeczy, które dawniej umykały mej uwadze, na przykład pojmuję już, co robił



sąsiad w patio, ten tak zwany stygmatyk; wiem też, co to znaczy, gdy na przyjęciu towarzyskim rozmówca, przeprosiwszy, oddała się z dystynkcją w jakiś kąt, aby tam zażywać swojej tabaczki, jednocześnie fiksując mnie wzrokiem po to, by mój wizerunek doskonale wierny zapadł niezwłocznie w piekło jego rozjuszonej wyobraźni! I tak postępują osoby z najwyższych sfer chemokratycznych! A ja nie dostrzegałem, za fasadą wykwintnej uprzejmości, tej ohydy! Wziąwszy, dla wzmocnienia, łyżkę herkulidyny na cukrze, połamałem wszystkie bomboniery, stłukłem fiołki, puzdra, flakony, słoje i pigularze, jakimi obdarowała mnie Aileen. Jestem gotów na wszystko. Odczuwam taką wściekłość chwilami, że łaknę wprost wizyty jakiegoś rewizyjnego interferenta, boby się na nim moja pasja skrupiła. Refleksja podpowiada, że równie dobrze mógłbym sam się tym zająć, a nie czekać z pałką — na przykład mógłbym wszak kupić nadymaka. Ale jeżeli już nabyć manekina, to czemu nie damekina? Jeżeli damekina, czemu nie człekowca? Jeżeli, do stu par piorunów, człekowca, to czemu nie mogę zamówić u Hopkinsa, czyli w „Procrustics Inc.”, należytej kaźni, deszczu siarki, smoły, ognia na ten zwyrodniały świat? W tym sęk, że nie mogę. Musze wszystko sam, wszystko sam — sam! Potworność.

*1 X 2039.* Dziś doszło do zerwania. Podała mi, na wyciągniętej ręce, dwie pigułki, czarną i białą, abym zdecydował, którą z nich ma niezwłocznie zażyć. A więc nie stać jej było na decyzję naturalną, bez psychemikaliów, nawet w tak zasadniczej sprawie serca! Nie chciałem wybierać, doszło do kłótni, którą wzmocniła sobie babranem. Oskarżyła mnie fałszywie, jakobym przed spotkaniem nażał się inwektolu (to jej słowa). Były to dla mnie chwile rozdierające, lecz pozostałem sobie wierny. Od dziś będę jadał tylko w domu, tylko potrawy, które sam przyrządzę. Żadnych śniadeł, paradyzjaków, galaretek lukseterninowych, rozbiłem wszystkie hedoniczki. Niepotrzebny mi protestal ani preczan. Do mego pokoju zagląda przez okno duży ptak o smutnych oczach, bardzo dziwny, ponieważ na kółkach. Komputer twierdzi, że nazywa się pederastwa.

*2 X 2039.* Mało co wychodzę z domu. Łykam dzieła historyczne i matematyczne. Poza tym oglądam rewizję. Lecz i wtedy daje mi się we znaki wewnętrzny bunt przeciw wszystkiemu, co mnie otacza. Wczoraj na przykład skusiło mnie, by manipulować regulatorem solidności obrazu, czyli jego ciężaru właściwego, tak aby wszystko miało jak największą spoistość i masę. Stół trzasnął spikerowi pod ciężarem kilku kartek z tekstem dziennika wieczornego, a on sam

przewalił się przez podłogę studia. Oczywiście efekty te wystąpiły wyłącznie u mnie i nie miały żadnych konsekwencji, tyle tylko, iż świadczą o moim stanie psychicznym. Ponadto drażni mnie w rewizji humorek, wic, satyra, nowoczesna groteska. „Piguł na piguł — mówił święty Iguł”. Co za niewybredność konceptu! Same nazwy widowisk... Na przykład *Z nadymanką na erotocyklu* — sensacyjny dramat, który zaczynał się tym, że w ciemnym bistrze siedziało paru uchylców. Wyłączyłem, miałem już tego dość. Lecz cóż z tego, skoro od sąsiadów słychać było najnowszy szlagier z innego kanału (ale gdzie mój kanał? gdzie?!) — *W torebkach dziewczyny noszą refutał i dawainy*. Czy nawet w XXI wieku nie można porządnie izolować mieszkania?! Miałem dziś znów ochotę bawić się solidatorem rewizji, w końcu go złamałem. Muszę zebrać się i coś postanowić. Ale co? Wszystko drażni mnie, wystarczy byle co, drobnostka, nawet poczta — oferta tego biura na rogu, bym podał się do nagrody Nobla, obiecują załatwić w pierwszej kolejności jako przybyszowi z dawnych straszliwych czasów. Bo pękne! Rzeczywiście! Podejrzany druczek oferujący „tajne pigułki, których nie ma w normalnej sprzedaży”. Strach pomyśleć, co w nich może być. Ostrzeżenie przed kłusennikiem — pokątnym sprzedawcą nie dopuszczonych do obrotu śnideł. A zarazem apel, by nie śnić żywiołowo, na dziko, bo to jest marnowanie energii psychicznej. Co za troska o obywatela! Zamówiłem sobie śnidło z wojny stuletniej i zbudziłem się rano cały w śniakach.

3 X 2039. Nadal pędzę samotny żywot. Dziś, przeglądając numer świeżo zaabonowanego kwartalnika „Będzieje Ojczyste”, natrafiłem z osłupieniem na dobrze mi znane nazwisko profesora Trottelnreina. Zaraz też znów opadły mnie najgorsze wątpliwości, czy wszystko, czego doznaję, nie jest jednym pasmem zwidów i majaceń? W zasadzie to możliwe. Czy „Psychomatics” nie zachwala ostatnio pigułek warstwowych, stratylek, które dają wizje wielopoziomowe? Ktoś na przykład chce być Napoleonem pod Marengo, a gdy się bitwa kończy, żal mu wracać do jawy, więc od razu tam, na pobjawisku, marszałek Ney lub ktoś ze starej gwardii podaje mu na srebrnej tacy nową pigułkę, wprawdzie tylko halucynowaną, ale nic to — po przyjęciu otwiera ją się wrota następnej halucynacji, i tak ad libitum. Ponieważ mam zwyczaj rozcinania węzłów gordyjskich, spożyłem spisaną telefoniczną i zadzwoniłem, dowiedziawszy się numeru, do profesora. To on! Mamy się spotkać na kolacji.

3 X 2039. Trzecia godzina w nocy. Piszę śmiertelnie znużony, z duszą osiwiąłą. Profesor spóźnił się trochę, tak że chwilę czekałem nań w restauracji. Przyszedł pieszo. Poznałem go z

daleka, choć jest teraz dużo młodszy niż w ubiegłym stuleciu, nie nosi też parasola ani okularów. Wydawał się wzruszony moim widokiem.

— Cóż to — spytałem — pan pieszo? Czyżby znarowina (znarowienie się samochodu, to się zdarza)?

— Nie — odparł — wolę poruszać się per pedes apostolorum...

Ale się jakoś dziwnie uśmiechnął przy tym. Gdy kelputery odstały nas, zacząłem go wypytywać, co robi — ale też od razu wysnęło mi się słówko o halucynacyjnych podejrzaniach.

— Dajże pan spokój, Tichy, jaka halucynacja! — obruszył się. — Równie dobrze ja mógłbym podejrzewać pana o to, że jesteś moją fatamorganą. Pan się zamroził? Ja też. Odmrożono pana? Mnie również. Mnie ponadto jeszcze odmłodzono, no, rejuwenal, desenilizyny, panu to niepotrzebne, a ja, gdyby nie solidna kuracja, nie mógłbym już być będzieistą!

— Futurologiem?

— Ta nazwa znaczy teraz coś innego. Futurolog stawia profuty (prognozy), a ja zajmuję się teorią. To rzecz zupełnie nowa, za moich i pana czasów nie znana. Można by ją nazwać przewidywaniem przyszłości odjęzykowym. Prognostyka lingwistyczna!

— Nie i słyszałem o tym. Cóż to jest?

Pytałem, by rzec prawdę, raczej z grzeczności niż z zaciekawienia, lecz tego nie dostrzegł. Kelputery przyniosły nam przystawki. Do zupy było białe wino 1997 — dobry rocznik chablis, który lubię i dlatego go wybrałem.

— Futurologia odlingwistyczna bada przyszłość podług transformacyjnych możliwości języka — wyjaśnił Trottelreiner.

— Nie rozumiem.

— Człowiek potrafi opanować tym tylko, co może pojąć, a pojąć z kolei może jedynie to, co się da wyśłowić. Niewysłowione jest niepojęte. Badając dalsze etapy ewolucji języka, dochodzimy tego, jakie odkrycia, przemiany, rewolucje obyczajów język ten będzie mógł kiedykolwiek odzwierciedlić.

— Bardzo dziwne. Jakże to w praktyce wygląda?

— Badania prowadzimy dzięki największym komputerom, bo człowiek nie może sam wypróbować wszystkich wariantów. Chodzi głównie o wariacyjność języka syntagmatyczno-paradygmatyczną, ale skwantowaną...

— Profesorze!

— Przepraszam. Znakomite jest to chablis. Najlepiej wyjaśni panu rzecz kilka przykładów. Proszę podać mi jakieś słowo.

— Ja.

— Ja, co? Hm. Ja. Dobrze. Rozumie pan, że muszę niejako zastępować komputer, więc będzie to całkiem proste. A więc — ja. Jaźń. Ty. Tyźń. My, myźń. Widzi pan?

— Nic nie widzę.

— Ależ jak to? Chodzi o możliwość zlewania się jaźni z tyźnią, czyli o zespólnię dwu świadomości, to po pierwsze. Po wtóre — myźń. Bardzo interesujące. Jest to świadomość zbiorowa. No, na przykład przy silnym rozszczepieniu osobowości. Proszę o jakieś inne słowo.

— Noga.

— Dobrze. Co idzie z nogi? Nogant. Nogiel, ewentualnie kogiel-nogiel. Nogier, noginia, noglić i nożyć się. Roznożenie. Znożony. Nogać tam! Nogaś! Nogam? Nogista. Proszę, widzi pan, mamy coś płodnego. Nogista. Nogistyka.

— Co znaczy to wszystko? Przecież te słowa nie mają żadnego sensu?

— Jeszcze nie mają, ale będą mieć. To znaczy — mogą ewentualnie zdobyć sens, jeżeli nogistyka i nogizm się przyjmą. Robot — to słowo nic nie znaczyło w XV wieku, lecz gdyby mieli wtedy futurologię odjęzykową, toby się mogli domyślić automatów.

— Więc co znaczy nogista?

— Widzi pan, akurat w tym wypadku mogę to dokładnie wyjawić, ale tylko dlatego, że nie chodzi o prognozę, lecz o to, co już jest. Nogizm — to najnowsza koncepcja, nowy kierunek autoewolucji człowieka, tak zwanego homo sapiens monopedes.

— Jednonogi?

— A tak. Ze względu na zbędność chodu oraz nadciągający brak miejsca.

— Ależ to idiotyzm!

— Ja też tak sądzę. Niemniej takie sławy jak profesor Hatzelklatzer czy Foeshbeene są nogistami. Pan o tym nie wiedział, podając mi termin noga, prawda?

— Nie. A co znaczą te inne urobki?

— Tego właśnie na razie nie wiadomo. Jeżeli nogizm zwycięży, powstaną takie obiekty, które będą się nazywały nogiel, noginia i tak dalej. Bo to nie jest żadne proroctwo, proszę pana, a tylko przegląd możliwości w stanie czystym. Podajże mi pan inne słowo.

— Interferent.

— Dobrze. Inter i fero, fero, ferre, tuli, latum. Skoro pochodzi z łaciny, trzeba w łacinie szukać kontynuacji. Flos, floris. Interflorentka. Proszę bardzo — to panna, która ma dziecko z interferentem, bo zabrał jej wianek.

— Skąd pan wziął wianek?

— Flos, floris — kwiat. Defloracja — odebranie dziewictwa. Zapewne będzie się mówiło: porodzianka — lub: porodzianka rewizyjna, w skrócie — porewidentka. Zapewniam pana, że dysponujemy już przebogatym materiałem. Ot, taka prostytutka — od konstytuanta — to otwiera całe uniwersum nowej obyczajowości!

— Widzę, że pan jest entuzjastą tej nowej nauki. Może spróbuje pan z jeszcze jednym słowem? Śmieci.

— Czemu nie? To nic, że pan sceptyk. Proszę bardzo. A więc... śmieci. Hm. Śmietnisko. Śmioty. Dużo śmieci — wszechśmioty. Wszechśmiot! Nader ciekawe. Panie Tichy, pan doskonale podaje słowa! Wszechśmiot — proszę, no, proszę!

— Co w tym niezwykłego? To słowo nic nie znaczy.

— Po pierwsze — teraz się mówi: nic nie smaczy. Nie znaczy — to już anachronizm. Zauważyłem, że pan niechętnie używa nowych słów. Niedobrze. Pogadamy o tym później. A po wtóre — wszechśmiot teraz jeszcze nic nie znaczy, ale można już się domyślić przyszłego sensu! Chodzi, nieprawdaż, o nową teorię psychozoiczną. Nie byle co! Głosiłaby ona, że gwiazdy są sztucznego pochodzenia!

— A to pan skąd znowu wziął?

— Ze słowa wszechśmiot. Oznacza ono, to jest sugeruje, taki obraz: w toku eonów Kosmos zapełnił się śmieciem, czyli odpadami pocywilizacyjnymi, z którymi nie było co robić, które przeszkadzały w badaniu astronomicznym i w kosmicznych podróżach, więc zbudowano olbrzymie paleniska o bardzo wysokiej ciepłocie, żeby, nieprawdaż, palić te śmieci. Muszą mieć wielką masę, dzięki czemu same przyciągają śmieci, próżnia z wolna się oczyszcza i oto ma pan gwiazdy — te ognie właśnie, i mgławice ciemne — śmieci jeszcze nie uprzątnięte.

— I jakże — pan na serio tak? Pan sądzi, że to możliwe? Kosmos jako całopalenie śmieci? Profesorze!

— Toż to nie jest kwestia mojej wiary lub niewiary, Tichy. Po prostu dzięki odlingwistycznej futurologii utworzyliśmy nowy wariant kosmogonii jako czystą możliwość dla

przyszłych pokoleń! Nie wiadomo, czy ktoś weźmie to serio, ale faktem jest, że taką hipotezę można wyartykułować! Proszę zważyć, że gdyby w dwudziestych latach istniała ekstrapolacja lingwistyczna, już wówczas można by było przewidzieć bomby — pamięta pan je chyba! — dzięki urobieniu ich od bomb. Sam język, proszę pana, tai w sobie olbrzymie, lecz przecie nie bezgraniczne możliwości. Utopić się — gdy pan pojmie, że to może iść od „utopia”, zrozumie pan lepiej czarnowidztwo wielu futurologów!

Rozmowa zesłała wnet na sprawy mocniej mnie poruszające. Wyznałem Trottelreinerowi moje lęki — i moje obrzydzenie do nowej cywilizacji. Zachnął się. Słuchał jednak dalej i, dobre serce, zaczął mi współczuć. Widziałem nawet, jak sięgnął po mizerykordiał do kamizelki, ale powstrzymał się w pół drogi do niej, bo tak wybrzydzałem się na psychemikalia. Na koniec jednak przybrał surowy wyraz twarzy.

— Niedobrze z panem, Tichy. Krytyka pana nie dociera w ogóle do sedna rzeczy. Nie zna go pan. Ani się go pan nie domyśla. W porównaniu z nim — „Procrustics” i cała reszta psycywilizacji to fraszka!

Nie wierzyłem własnym uszom.

— Ależ... ależ... — jąkałem się — co też pan mówi, profesorze? Co może być gorsze?

Pochylił się ku mnie przez stolik.

— Tichy, zrobię to dla pana. Naruszę zawodową tajemnicę. O wszystkim, na co pan wyrzekał, wie każde dziecko, bo jakżeby inaczej. Rozwój musiał iść w tym kierunku od chwili, gdy po narkotykach i prahalucynogenach przyszły tak zwane psychofokalizatory o silnie wybiórczym działaniu. Ale prawdziwy przewrót nastąpił dopiero dwadzieścia pięć lat temu, gdy syntetyzowano maskony, to jest hapunktory — halucynogeny punktowe. Narkotyki nie odcinają człowieka od świata, zmieniają tylko stosunek do niego. Halucynogeny zamacają i przesłaniają cały świat. Pan się o tym sam przekonał. Natomiast maskony świat fałszują!

— Maskony... maskony... — powtarzałem. — Znam to słowo. A! Koncentracje masy pod skorupą Księżyca, te takie zgęstki minerałów? Ale co one mają wspólnego...?

— Nic, bo to słowo nabrało już innego znaczenia. To jest smaczenia. Pochodzi od maski. Wprowadzając odpowiednio syntetyzowane maskony do mózgu, można zasłonić dowolny obiekt świata zewnętrznego obrazami fikcyjnymi tak sprawnie, że osobnik zachemaskowany nie wie, co jest w postrzeganym realne — a co ułudne. Gdybyś pan przez jedno mgnienie zobaczył świat, jaki nas naprawdę otacza — a nie ten uszminowany chemaskowaniem — zdrętwiałbyś pan!

— Czekajże pan. Jaki świat? Gdzie on jest? Gdzie go można zobaczyć?

— Nawet tu! — szeptał mi do ucha, zerkając na wszystkie strony. Przysiadł się do mnie i podając mi pod stolikiem małą szklaną flaszkę z dotartym korkiem, tchnął poufnie:

— To jest antych, z grupy ocykanów, potężny środek przeciwpsychemiczny, pochodna nitrodazylikowa peiotropiny. Nawet noszenie przy sobie, nie to że zażywanie, jest deliktem głównym! Proszę odkorkować pod stołem, wciągnąć raz w nozdrza, ale tylko raz — jakbyś pan amoniak wachał. No, jak sole trzeźwiące. Ale potem... Dlaboga! Panuj nad sobą! Trzymaj się, pamiętaj!

Trzęsącymi się rękami odkorkowałem flaszkę. Profesor odebrał mi ją, ledwie się zaciągnąłem ostrym migdałowym oparem; do oczu napłynęły mi obfite łzy. Gdy je strąciłem końcem palca i otarłem powieki, straciłem dech. Wspaniała sala, wyłożona kobiercami, pełna palm, o majolikowych ścianach, z wykwintnie roziskrzonymi stołami, z dworną kapelą w głębi, co przygrywała nam do pieczystego, znikła. Siedzieliśmy w betonowym bunkrze, przy nagim stole drewnianym, ze stopami zanurzonymi w porządnie już starganej, słomianej macie. Muzykę słyszałem nadal, ale widziałem teraz, że płynie z głośnika zawieszzonego na pordzewiałym drucie. Kryształowo tęczujące kandelabry ustąpiły miejsca zakurzonym nagim żarówkom; najokropniejsza przemiana zaszła jednak na stole. Śnieżysty obrus znikł; srebrny półmisek z dymiącą kuropatwą na grzance obrócił się w fajansowy talerz, na którym leżała nieapetyczna, szarobrunatna bryja, klejąca się do cynowego widelca, bo i jego stare, szlachetne srebro zgasło. Patrzyłem zlodowaciały na paskudztwo, które przed chwilą jeszcze pałaszowałem ze smakiem, rozkoszując się chrupaniem przyrumienionej skórki ptaszęcej, łamanym kontrapunktowo grubszymi trzaśnięciami grzanki, górę wybornie podsuszanej, dołem zaś naciągającej sosikiem. To, co brałem za liście palmy w pobliskim kubie, było w samej rzeczy sznurkami od kalesonów osobnika, który z trzema innymi siedział tuż nad nami, nie na piętorku, lecz raczej na półce, tak była wąska i ciasna. Gdyż tłok panował nieprawdopodobny! Myślałem, że oczy wyjdą mi z orbit, kiedy przerażający obraz zachwiał się i jał zasnuwać na powrót, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Tasiemki kalesonowe obok mej twarzy zazieleniły się i były znów liściastymi odnogami palmy, kubek z odpadkami, cuchnący o trzy kroki, nabrawszy ciemnego blasku, stał się rzeźbioną donicą, a brudna powierzchnia stołu zabieliła się jak pokryta pierwszym śniegiem. Zabłyły kryształowe kieliszki, bryjowata maź nabrała szlachetnej barwy pieczystego, wyrosły jej, gdzie trzeba, skrzydełka i udka, cyna sztućców łysnęła starym srebrem... i zafurkotały wokół

fraki kelnerskie. Spojrzałem pod nogi — słoma obróciła się w persy — i, przywrócony luksusowemu światu, dysząc ciężko, wpatrywałem się w bujną pierś kuropatwy, niezdolny zapomnieć tego, co kamuflowała...

— Teraz dopiero zaczyna pan ogarniać rzeczywistość — konfidentycznie szeptał Trottelreiner, patrząc mi w twarz, jakby się bał mojej nazbyt gwałtownej reakcji. — A proszę zważyć, że znajdujemy się w lokalu ekstraklasy! Gdybym nie brał z góry w rachubę ewentualności wtajemniczenia pana, poszlibyśmy do restauracji, której widok, kto wie, pomieszałby może panu umysł.

— Co? Więc... są... jeszcze straszniejsze?

— Tak.

— Nie może być.

— Zapewniam pana. Tu mamy przynajmniej autentyczne stoły, krzesła, talerze i sztuce, a tam leży się na wielopiętrowych pryczach, jedząc palcami z podtykanych przez konwejer kubłów. Także to, co ukrywa się pod maską kuropatwy, jest tam mniej pożywne.

— Co to jest?!

— Nie żadna trucizna, Tichy, po prostu ekstrakt trawy i buraka pastewnego, namoczony w chlorowanej wodzie i zmielony z rybną mączką; zwykle dodaje się kostnego kleju i witamin, omaszczając maź syntetycznym smarem, żeby nie stawała w gardle. Nie zauważył pan zapachu?

— Zauważyłem. Zauważyłem!!!

— A widzi pan.

— Na litość boską, profesorze... co to jest? Proszę mi powiedzieć! Zaklinam pana. Zmowa? Perfidia? Plan dla wygubienia całej ludzkości? Szatański spisek?

— Gdzie tam, Tichy. Nie bądź pan demoniczny. Jest to po prostu świat, w którym żyje grubo ponad dwadzieścia miliardów ludzi. Czytał pan dzisiejszego „Heralda”? Rząd Pakistanu twierdzi, że w tegorocznej katastrofie głodowej zginęło tylko 970 000 ludzi, opozycja zaś — że sześć milionów. Gdzież w takim świecie chablis, kuropatwy, potrawki w sosie bearnais? Ostatnie kuropatwy wyginęły ćwierć wieku temu. To trup, tyle że znakomicie zachowany, bo się go wciąż sprawniej mumifikuje — czy też, bośmy się nauczyli maskować tę śmierć.

— Zaraz! Myśli nie mogę zebrać... Więc to znaczy, że...

— Że nikt panu źle nie życzy, na odwrót — z litości bowiem, z powodów wyższej humanitarnej natury stosuje się humbug chemiczny, kamuflaż, przystrajanie rzeczywistości w



piórka i barwy, jakich jej brak...

— Profesorze, czy to oszustwo jest wszędzie?

— Tak.

— Ale ja nie jadam na mieście, sam sobie gotuję, więc którądy, jak...?

— Jak przyjmuje pan maskony? Pan o to pyta? Pan? Są w powietrzu trwale rozpylane.

Nie pamięta pan costaricańskich aerozoli? To były nieśmiałe pierwsze próby, coś jak Montgolfiera w zestawieniu z rakieta.

— I wszyscy o tym wiedzą? I mogą z tym żyć?

— Nic podobnego. Nikt o tym nie wie.

— Ani pogłosek, ani plotek?

— Plotki są wszędzie. Ale proszę pamiętać, że istnieje amnestan. Są rzeczy, o których wie każdy, i są takie, o których nie wie nikt. Farmakokracja ma swą część jawną i skrytą; pierwsza wspiera się na drugiej.

— To nie może być.

— O? Czemu?

— Bo ktoś musi dbać o te słomianki, i ktoś musi produkować fajanse, z których naprawdę jemy, i tę bryję, która udaje pieczone. I wszystko!

— Ależ tak. Ma pan rację, wszystko musi być wytwarzane i zachowywane, cóż z tego?

— Ci, którzy to robią, widzą i wiedzą!

— Skąd znowu. Myśli pan wciąż archaicznymi kategoriami. Ludzie myślą, że idą do szklanej fabryki-oranżerii; przy wejściu dostają antyhal i dostrzegają gołe betonowe mury i robocze stanowiska.

— I chcą pracować?

— Z największym zapałem, ponieważ dostają też dawkę sakryficyny. Praca jest tedy poświęceniem, czymś szczytnym; po zakończeniu dość łyku amnestanu czy memnolizyny, a wszystko, co się zobaczyło, ulega zapomnieniu!

— Do tej pory obawiałem się, że żyję w halucynacji. Teraz widzę, jaki byłem głupi! Boże, jakżebym chciał wrócić! Co bym za to dał!

— Wrócić, dokąd?

— Do kanału pod hotelem Hiltona.

— Nonsens. Zachowuje się pan nierozważnie, bym nie powiedział: głupio. Powinien pan

robić to, co wszyscy, jeść i pić jak wszyscy, wówczas otrzymywałby pan niezbędne dawki optymistanu, serafinoli, i był by pan w wyśmienitym humorze.

— Więc i pan jest adwokatem diabła?

— Bądźże pan rozsądny. Cóż to za czyn diabelski, jeśli lekarz kłamie w potrzebie choremu? Skoro musimy już tak mieszkać, żyć, jeść — lepiej, gdy się to nam przedstawia w ślicznych opakowaniach. Maskony działają niezawodnie, z jednym tylko wyjątkiem, więc co w nich złego?

— Nie czuję się na siłach dyskutować teraz z panem na ten temat — powiedziałem, ochłonawszy trochę. — Proszę mi tylko odpowiedzieć na dwa pytania, przez pamięć dawnych czasów: jaki to jest wyjątek w działaniu maskonów? I w jaki sposób doszło do rozbrojenia powszechnego? Czy i ono jest mirażem?

— Nie, na szczęście jest całkiem realne. Ale, by to panu wyjaśnić, musiałbym się uciec do wykładu, a czas już na mnie.

Umówiliśmy się na dzień następny; przy pożegnaniu ponowiłem pytanie o defekt maskonów.

— Proszę pójść do Wesołego Miasteczka — rzekł profesor, wstając. — Jeśli chce pan niemiłych rewelacji, wsiądzie pan do największej karuzeli, a gdy uzyska ona pełne obroty, zrobi pan scyzorykiem dziurkę w osłonie kabiny. Osłona jest konieczna właśnie dlatego, że w czasie wirowania fantazmaty, jakimi maskon zaćmiewa realność, ulegają przemieszczeniom — jak gdyby siła odśrodkowa rozsuwała końskie okulary... Zobaczysz pan, co się wychyla wtedy spoza pięknych ułud...

Piszę te słowa o trzeciej w nocy, złamany. Cóż mogę do tego dodać? Rozważę poważnie projekt ucieczki od cywilizacji, zaszyca się w jakąś głuszę. Nawet Galaktyka przestała mnie wabić, jak nie kuszą podróże, gdy nie ma z nich dokąd wrócić.

5 X 2039. Wolne przedpołudnie spędziłem w mieście. Z ledwie powściąganym przerażeniem wpatrywałem się w powszechne oznaki komfortu i luksusu. Galeria sztuki na Manhattanie zachęca do kupowania za bezcen oryginalnych płócien Rembrandta i Matisse'a. Obok oferują wspaniałe meble w stylu Ludwików, marmurowe kominki, trony, zwierciadła, zbroje saraceńskie. Moc różnych aukcji — sprzedaje się domy jak ulęgałki. A ja sądziłem, że żyję w raj, w którym każdy może sobie „popałacować”! Biuro rejestracji samozwańcych

kandydatów do nagrody Nobla na Piątej ulicy też wyjawilo mi swą własciwą naturę: kazdy moze miec Nobla, podobnie jak pozawieszac sciany mieszkania najcenniejszymi dziełami sztuki, jezeli jedno i drugie jest tylko szczypta proszku drażniacego mózg! Najwieksza perfidia w tym, ze czesc zbiorowej uludy jest jawna, mozna wiec naiwnie zakreslic granice oddzielajaca fikcje od rzeczywistosci, a poniewaz spontanicznie nikt nie reaguje juz na nic — chemicznie uczac sie, kochajac, buntujac, zapominajac — roznicza miedzy uczuciem wymanipulowanym i naturalnym przestala istniec. Szedlem ulicami zaciskajac kulaki w kieszeniach. O, nie potrzebowalem amokoliny ani furyasoli, by doznawac wscieklosci! Moja tropicielsko uskrzydłona mysl trafiala wszystkie pusto brzmiace miejsca tego monumentalnego oszukanstwa, tej rozroslej poza horyzonty dekoracji. Dzieciom podaja syropki ojcobijcze, potem, dla rozwoju osobowosci, kontestan i protestolidyne, a dla usmierzenia wznieconych porywow — sordyn i kooperantan; policji nie ma, po co, skoro jest kryminol; apetyty zbrodnicze gasi „Procrustics Inc.”; dobrze, ze omijalem dotad teosiegarnie, bo i w nich jest tylko zestaw preparatow wiaropednych, laskodajnych, sumienidki, peccatol, absolvan, i nawet swietym mozna zostac dzieki sacrosanctyzydazie. Zreszta, czemu nie allaszek islaminy, dwuzenek buddanu, nirvanium kosmozyłowe, teokontaktol? Czopki-eschatolopki, masc nekrynowa ustawia cie w pierwszym szeregu w Dolinie Jozafata, resurrectol zaś, podany na cukrze, dokona reszty. Swiety Bogolu! Paradyzjaki dla dewotow, belzeban i hellurium dla masochistow... z trudem powstrzymalem sie, aby nie wpaśc do mijanego farmakopeum, gdzie lud nabożnie klekal, jak tabaki zażywajac genuflektoliny. Musialem sie hamowac, by nie dano mi amnestanu. Tylko nie to! Pojechałem do Wesołego Miasteczka, obracajac spotniałymi palcami w kieszeni scyzoryk. Nic nie wyszlo z doświadczenia, bo osłona kabiny okazala sie niezwykle twarda — chyba z hartowanej stali.

Pokoje do wynajecia, w ktorých mieszkal Trottelreiner, znajdowaly sie przy Piątej ulicy. Nie bylo go w domu, gdym przyszedl o umowionej porze, ale uprzedzil mnie, ze sie moze spoznic, i dal mi swist do drzwistu. Wszedlem wiec i siadlem przy profesorskim biurku, zawalonym naukową prasą oraz zapisanymi papierami. Z nudow — a moze raczej, by usmierzyc niepokoj palacy duchowe wnetrzności — zajrzalem do notatek Trottelreiner. „Wszechsmiot”, „porodzianka”, „cudziniec”, „cudzinka”. Ach, wiec mial glowe do tego, by spisywac terminy tej swojej dziwacznej futurologii... „Poplódnia”, „wykapanek”, „wykapanka”. „Porodzystka” — rekordzistka porodowa? No tak, przy eksplozji demograficznej, zapewne. W kazdej sekundzie rodzilo sie osiemdziesiat tysiecy dzieci. A moze osiemset tysiecy. Co za roznicza? „Myślarz”,

„myślant”, „myśliny”, „mysie!”, „myśl główna”, czyli „dyszłowa”, „myszlina” - „dyszlina”. Czymże on się zajmował! Profesorze, ty tu, a tam świat ginie! — chciałem wołać. Nagle błysło coś spod papierów — antyhal, ta flaszeczka. Wahałem się przez ułamek sekundy, potem, zdecydowany, pociągnąłem ostrożnie i spojrzełem na pokój.

Dziwna rzecz: prawie się nie zmienił! Szafy biblioteczne, półki z pigułkami w informatorach, wszystko pozostało, jakie było, tylko ogromny, kaflowy piec holenderski w kącie, który zdobił pokój soczystym blaskiem swych rzeźbionych kafelek, zamienił się w tak zwanego „bękartą” z przepaloną rurą blaszaną, wetkniętą w dziurę w murze, a wokół podłoga zaczerniała od osmalin. Odstawiłem szybko flaszeczkę, jak złapany na gorącym uczynku, bo w przedpokoju świsnęło i wszedł Trottelreiner.

Opowiedziałem mu o Wesołym Miasteczku. Zdziwił się, poprosił, bym mu pokazał scyzoryk, pokiwał głową, sięgnął po flaszeczkę, powąchał i dał ją mnie z kolei. Zamiast scyzoryka ujrzałem ułomek spróchniałej gałązki. Wróciłem oczami do twarzy profesora — był jakby markotny, nie taki pewny siebie, jak poprzedniego dnia. Położył na biurku teczkę, pełną kongresowych lizaków, i westchnął.

— Tichy — rzekł — musi pan zrozumieć, że ekspansją maskonów nie powoduje na razie specjalna perfidia...

— Ekspansją? A to co znowu?

— Wiele rzeczy, jeszcze realnych w zeszłym miesiącu lub roku, trzeba zastępować mirażami, skoro autentyki stają się po prostu nieosiągalne — tłumaczył mi, zafrasowany jakąś inną myślą, która, widziałem to, nie dawała mu spokoju.

— Na tej karuzeli jeździłem przed kwartałem, ale nie dam głowy za to, że ona tam jeszcze jest. Wszak może być, że kupując bilet wstępu, dostaje pan z dyfuzera porcję pary karuzelowej czy lunaparkiny, co zresztą jest racjonalne jako o wiele bardziej oszczędne. Tak, Tichy, sfera realnego posiadania ludzkości kurczy się z zastraszającym przyspieszeniem. Zanim tu zamieszkałem, byłem w nowym Hiltonie, ale, wyznaję, nie potrafiłem tam żyć, bo gdym nieopatrznie skorzystał z wytrzeźwiacza, ujrzałem się w klitce wielkości sporej szuflady, z nosem przy karmniku, w żebra gniótl mnie kurek wodociągowy, a stopami dotykałem wezgłowia legowiska w następnej szufladzie, to jest apartamencie, bo miałem apartament na ósmym piętrze, za 90 dolarów dziennie. Miejsca, po prostu miejsca jest coraz mniej! Robią obecnie próby z tak zwanymi despacializatorami albo psywidymkami, ale idą opornie, bo jeżeli maskuje się

współobecność z panem ogromnych tłumów na ulicy czy na placu, tak że widzi pan tylko odległe jednostki, zaczyna się pan zderzać z ludźmi zamaskowanymi, których pan nie zauważa, a to już kłopot, którego nie umieją na razie przewyciężyć!

— Profesorze, zjrzałem do pana notatek. Proszę wybaczyć, ale co to jest? — Pokazałem palcem kartkę, na której widniały słowa: „multyschiaol”, „ciźbidek wielaniny”.

— A, to... Wie pan, istnieje plan, to znaczy koncepcja hinternizacji, od nazwiska autora Egoberta Hinterna, nieprawdaż — ażeby zastępować rosnący brak zewnętrznej przestrzeni — wyhalucynowaną przestrzenią wewnętrzną, duszy, bo metraż tej ostatniej żadnym ograniczeniom fizycznym nie podlega. Pewno pan wie, że dzięki zooforminom można się czasowo stać, to jest czuć się, żółwiem, mrówką, bożą krówką, a nawet jaśminem przy pomocy prebotynidu infloryzującego, oczywiście tylko subiektywnie. Można też doznać rozszczepienia osobowości na dwie, trzy, cztery części. Gdy rozszczepienie sięga liczb dwucyfrowych, powstaje efekt ciźbinowy. To już nie jaźń wtedy, lecz myźń. Wielość jaźni w jednym ciele. Są też dojaźniacze, żeby spotęgowane w intensywności życie wewnętrzne górowało nad postrzeganiem tego, co zewnętrzne. Taki świat, takie czasy, mój Tichy. Omnis est Pillula! Farmakopea jest teraz księgą żywota, encyklopedią bytu, alfą i omegą, żadnych przewrotów na widoku, skoro mamy już rewoltal, opozycjonal w czopkach glicerynowych i ekstreminę, a pański doktor Hopkins reklamuje sodomastol i gomorynki — można osobiście spalić ogniem niebieskim tyle miast, ile dusza zapragnie. Awans na Pana Boga też można dostać, kosztuje 75 centów.

— Najnowszą sztuką piękną jest świąd — rzekłem. — Słyszałem, to jest czułem, Scherzo Uascotiana, ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to cokolwiek dało pod względem estetycznym. Śmiałem się w najpoważniejszych miejscach.

— Tak, to nie dla nas, defryzoni z innego wieku, rozbitków w czasie — melancholijnie przytwierdził Trottelreiner. Jakby się w sobie przełamał, odchrząknął, spojrzął mi w oczy i rzekł:

— Tichy, rozpoczyna się właśnie kongres futurologiczny — to znaczy obrady nad będziejami ludzkości: Jest to Światowy Zjazd LXXVI; byłem dzisiaj na pierwszym wstępnym posiedzeniu organizacyjnym i chcę się podzielić z panem wrażeniami...

— Dziwne — rzekłem — czytam dość pilnie prasę, ale nie widziałem nawet wzmianki o tym kongresie...

— Bo to jest tajny kongres. Rozumie pan chyba — muszą być wszak między innymi omawiane problemy maskowania!

— I co? Niedobrze z nimi?

— Fatalnie! — rzekł profesor z naciskiem. — Gorzej nie może być!

— A wczoraj grał pan z innej dudki — powiedziałem.

— To prawda. Lecz proszę wziąć pod uwagę moje położenie — dopiero zaznajamiam się ze stanem aktualnych badań. To, co słyszałem dzisiaj, och, mówię panu — zresztą sam pan może się przekonać.

Wyjął z teczki duży pęk lizaków z tymczasowymi doniesieniami, powiązanych różnokolorowymi wstążeczkami, i podał mi go przez biurko.

— Nim pan się z tym zapozna, kilka słów niezbędnego wyjaśnienia. Farmakokracja jest psychemokracją, opartą na kremokracji — oto dewiza naszej nowej ery. Rządowi halucynogenów towarzyszy korupcja, aby to jeszcze zwięźlej ująć. Zresztą właśnie dzięki temu mamy powszechne rozbrojenie.

— A więc wreszcie dowiem się, jak z tym jest! — zawołałem.

— To wcale proste. Przekupstwo służy albo temu, by można zbyć towar niepełnowartościowy, albo temu, by go przy głodzie towarowym otrzymać. Towarem mogą być zresztą i usługi. Idealna sytuacja powstaje dla producenta wówczas, gdy inkasując należność, nic za nią w zamian nie daje. Przypuszczam, że zapoczątkowały realizę afery mendaktorów i malwersorów, o których pan musiał słyszeć.

— Tak, ale co to jest realiza?

— Dosłownie — rozpuszczanie się, więc — zanikanie rzeczywistości. Gdy wybuchł skandal komputerowych malwersacji, wszystko zwalono na maszyny cyfrowe. W istocie maczały w tym palce potężne konsorcja i tajne kartele. Szło, nieprawdaz, o uczynienie planet mieszkalnymi — sprawa pałaca wobec przeludnienia! Należało wybudować ogromne floty raketowe, zmienić klimaty, atmosfery Saturna i Uranu; o wiele prościej było robić to wszystko wyłącznie na papierze.

— Przecież to się musiało rychło wydać — zdziwiłem się.

— Nic podobnego. Powstają nieprzewidziane trudności obiektywne, nie znane dotąd problemy, przeszkody, trzeba nowych kredytów, asygnacji, ot, taki projekt Uranu pochłonał dotąd 980 miliardów, a nie wiadomo, czy ruszono tam choć jeden kamień.

— Komisje nadzorujące?

— Komisje nie składają się z kosmonautów, a nie przygotowany nie może lądować na

tych planetach. Wysyła się wtedy pełnomocników, którzy z kolei opierają się na przedłożonym im materiale wykazów, zdjęć fotograficznych, statystyk, a wszak można albo sfałszować dokumentację, albo, o wiele łatwiej jeszcze, sfingować maskonami.

— Ach!

— A właśnie. W podobny sposób, przypuszczam, rozpoczęło się jeszcze wcześniej pozorowanie zbrojeń. Firmy wszak, które otrzymują rządowe zamówienia, są własnością prywatną. Brały miliardy i nic nie robiły; to znaczy produkowały, owszem, działa laserowe, wyrzutnie raket, przeciw-przeciw-przeciw-przeciwrakiety (bo mamy ich szóstą generację), czołgi latające, tak zwane latalerze, ale wszystko hapunktowe.

— Proszę?

— Wyhalucynowane, mój panie. Po co robić próby nuklearne, gdy się ma fungolowe pastylki?

— Co to jest?

— Pastylki, po których zażyciu widzi się grzyb wybuchu atomowego. Był to proces łańcuchowy. Po co szkolić żołnierzy? W razie mobilizacji da im się pigułki wyszkoleniowe. Dowódców też nie warto kształcić — od czego strategina, generazol, taktydon, orderyl? „W Clausewitzu będziesz gmerał? Proszek zjedz, jużes generał”. Słyszał pan to porzekadło?

— Nie.

— Bo te zestawy specyfików są tajne, a przynajmniej nie dopuszczane na rynek. Desantów też nie warto nigdzie wysyłać — wystarczy nad wrzącym krajem rozpylić odpowiedni maskon, a ludność będzie widziała lądujące jednostki spadochronowe, piechotę morską, czołgi — prawdziwy czołg kosztuje teraz prawie milion dolarów, a halucynowany około jednej setnej centa na widza, to jest tak zwana jednostka czołgoosobowa. Pancernik kosztuje ćwierć centa. Cały arsenał Stanów Zjednoczonych można dzisiaj zapakować do jednej ciężarówki. Tankony, kadawerony, bombony — stałe, ciekłe i gazowe. Podobno istnieją nawet całe inwazje Marsjan — jako odpowiednio spreparowany proszek.

— Wszystko w maskonach?

— A jakże! Z kolei realna armia okazała się zbędna. Pozostało tylko trochę lotnictwa, a i to niepewne. Po co? To był proces lawinowy, rozumie pan? Nie można go było zahamować. Ot, i cała tajemnica rozbrojenia. Zresztą nie tylko rozbrojenia. Widział pan nowe modele tegoroczne cadillaca, dodge'a i chevroleta?

— Owszem, wcale ładne.

Profesor podał mi flaszeczkę.

— Proszę, niech pan podejdzie do okna i przyjrzy się tym pięknym autom.

Wychyliłem się przez parapet. Wąwozem ulicy, widzianym z jedenastego piętra, sunęła rzeka lśniących samochodów, błyskająca w słońcu szybami i dachami. Podniosłem otwartą buteleczkę do nosa, zamrugałem, wyciskając powiekami łzy z oczu, i zapatrzyłem się w niezwykle widok. Trzymając w uniesionych na wysokość piersi dłoniach powietrze, niczym dzieci bawiące się w szoferów, jezdnią kłusowały kolumny biznesmenów. Od czasu do czasu w zwartych szeregach galopowiczów, przebierających pospiesznie nogami, a od pasa w górę przechylonych do tyłu, jakby wpartych w przepastne fotele, pojawiał się samotny, dymiący samochód. Gdy działanie środka osłabło, obraz zadrgał, wyrównał się i znów widziałem z wysokości błyszczącą rzekę samochodowych dachów, białych, żółtych, szmaragdowych, płynącą majestatycznie przez Manhattan.

— Koszmarne! — rzekłem dosadnie — ale, mimo wszystko, pax orbi et urbi ustanowiony, więc może to się opłaciło?

— No, rozumie się, że to nie jest tylko złe. Ilość zawałów spadła bardzo znacznie, bo te długodystansowe galopy są świetną gimnastyką. Inna rzecz, że wzrosły zachorowania na rozedmę płuc, żylaki i rozszerzenie serca. Nie każdy nadaje się na maratończyka.

— To dlatego pan nie ma auta! — zawołałem domyślnie.

Profesor tylko się krzywo uśmiechnął.

— Średniej klasy wóz kosztuje dziś zaledwie 450 dolarów — rzekł — ale zważywszy, że koszty produkcji obracają się wokół ósmej części centa, jest to raczej słono. Ilość ludzi robiących coś realnego leci na łeb na szyję. Kompozytorzy biorą honoraria, dają zleceniodawcom łapówki, a publiczności, przychodzącej na prawykonanie do filharmonii, podsuwa się pod nos melotropinę koncertazolową.

— Moralnie to paskudne — rzekłem — ale czy bardzo szkodliwe w skali społecznej?

— To, co jest na razie — jeszcze nie. Zresztą ocena zależy od punktu widzenia. Dzięki transmutynie może pan mieć romans z kozą, sądząc, że to sama Wenus z Milo. Zamiast prac naukowych i obrad są kongressyny i dekongressyny, ale przecież istnieje pewne minimum życiowe, którego już się nie pokryje fikcją. Trzeba gdzieś mieszkać naprawdę i coś jeść, i czymś oddychać, a tymczasem realiza zżera jedną po drugiej sfery działania rzeczywistego. Ponadto



mamy zastraszający przybór objawów ubocznych. Wymagają one stosowania dehalucynin, neosupermaskonów, fiksatorów — z wątpliwym skutkiem.

— Cóż to takiego?

— Dehalucyniny to nowe specyfiki, po których wydaje się, że się nic nie wydaje. Stosowano je zrazu tylko u chorych umysłowo, ale rośnie liczba ludzi podejrzewających otoczenie o nieautentyczność. Amnestany nie pomagają przeciw uroburojeniom. To są i urobione wtórnie urojenia, rozumie pan? No, jeśli ktoś sobie roi, że sobie roi, że sobie nic nie roi — albo na odwrót. Jest to typowa problematyka psychiatrii współczesnej, tak zwanej wieżowcowej lub n-piętrowej. Ale najgroźniejsze są te nowe maskony. Widzi pan, pod wpływem nadmiaru specyfików organizmy szwankują. Ludziom wypadają włosy, rogowacieją uszy, to znów zanika ogon...

— Wyrasta, chciał pan powiedzieć.

— Nie, zanika, bo ogony wszyscy mają już od trzydziestu lat! To był skutek ortografiny. Za błyskawiczną naukę pisania przyszło tym zapłacić.

— Niemożliwe — bywam na plaży, nikt nie ma ogona, profesorze!

— Dzieckoś pan. Ogony maskuje się antycaudatoliną, która z kolei powoduje zaczerwienienie paznokci i psucie się zębów.

— Które też się maskuje?

— Naturalnie. Maskony działają w ilościach miligramów, ale łącznie każdy człowiek pochłania ich około stu dziewięćdziesięciu kilogramów w ciągu roku, co łatwo pojąć, zważywszy, że trzeba symulować urządzenia mieszkalne, jadło, napitki, grzeczność dzieci, uprzejmość urzędników, odkrycia naukowe, posiadanie Rembrandtów i scyzoryków, podróże zamorskie, kosmiczne loty i milion podobnych rzeczy. Gdyby nie tajemnica lekarska, byłoby wiadomo, że co drugi mieszkaniec Nowego Jorku jest łaciaty, ma grzbiet porośnięty zielonkawą szczeciną, kolce na uszach, płatfus i rozedmę płuc z rozszerzeniem serca od nieustannego galopowania. Wszystko to trzeba osłaniać i właśnie temu służą neosupermaskony.

— Koszmarne! I nie ma na to rady?

— Właśnie nasz kongres ma obradować nad alternatywą będziejów. Mówi się w kręgach fachowców powszechnie o konieczności radykalnej zmiany. Dysponujemy w tej chwili osiemnastoma projektami.

— Zbawienia?

— Można to i tak nazwać. Proszę, może pan siądzie i przelize te materiały. Ale miałbym do pana też pewną prośbę. To rzecz delikatna.

— Zrobię dla pana, co pan chce.

— Liczę na to. Widzi pan, otrzymałem od kolegi, chemika, próbki dwu nowo syntetyzowanych ciał z grupy ocykanów-wytrzeźwiaczy. Przysłał mi je ranną pocztą i pisze — Trottelleiner podniósł list z biurka — że mój preparat, ten, który i pan zażywał, nie jest autentycznym ocykanem. Pisze dosłownie: „Federalny Zarząd Psyprecji (to jest psychopreformacji) dla odwrócenia uwagi rzeczywidzów od wielu zjawisk kryzysowych rozmyślnie i złośliwie dostarcza im fałszywych środków przeciwurojeniowych, zawierających neomaskony”.

— Nie mogę się w tym połapać. Przecież sam doświadczyłem działania pańskiego preparatu. I co to jest rzeczowidz?

— A, to wysokie stanowisko społeczne, które między innymi i ja posiadam. Rzeczowidztwo to prawo i możliwość dysponowania ocykanami w celu ustalania, jak się mają rzeczy naprawdę. Ktoś bowiem musi o tym wiedzieć, to chyba oczywiste?

— Istotnie.

— A co do tego środka, mój przyjaciel przypuszcza, że on wprawdzie znosi wpływ maskonów starszej daty, od dawna już wprowadzonych, ale nie likwiduje wszystkich — zwłaszcza najnowszych. Byłby to więc — profesor podniósł flaszeczkę — nie wytrzeźwiacz, lecz maskon zaprojektowany perfidnie, zakamuflowany podwytrzeźwiacz, czyli wilk w owczej skórze!

— Ale po co to? Jeśli trzeba, aby ktoś wiedział...

— „Trzeba” w sensie ogólnym, ze stanowiska uwzględniającego całe dobro społeczne, ale nie z punktu widzenia cząstkowych interesów różnych polityków, korporacji, nawet federalnych agencji. Jeśli jest gorzej, niż dostrzegamy to my, rzeczowidzowie, tamci wolą, byśmy nie podnosili alarmów; więc spreparowali ten środek tak, jak się niegdyś podtykało szukającym — łatwe do odnalezienia skrytki w starych meblach. Aby się poszukiwacz zadowolił pierwszym wykrytym schowkiem i już nie szperał za prawdziwymi, zakamuflowanymi daleko zrzęcznie!

— Tak. Teraz rozumiem. Czego pan sobie życzy?

— Aby pan w czasie zaznajamiania się z tymi materiałami pociągnął najpierw z tej fiołki,

a potem z tej drugiej. Ja, prawdę mówiąc, nie mam odwagi.

— Tylko tyle? Ależ chętnie.

Wziąłem od profesora obie szklane rureczki, siadłem na fotelu i jąłem po kolei przyswajać sobie streszczenia nadesłanych prac będziejowych. Projekt pierwszy przewidywał sanację stosunków dzięki wprowadzeniu do atmosfery tysiąca ton inwersyny, preparatu, który odwraca o 180 stopni wszystkie doznania. Pierwsza faza przewidywała rozpylenie preparatu; odtąd wygoda, sytość, jak i smaczna żywność, rzeczy estetyczne, schludne — wszystko to ulega powszechnemu znienawidzeniu, natomiast tłok, ubóstwo, brzydota i nędza stają się pożądane nade wszystko. W fazie drugiej znosi się radykalnie działanie wszystkich maskonów i neomaskonów. Teraz dopiero ogół, postawiony twarzą w twarz ze skrywaną dotychczas rzeczywistością, znajduje pełną satysfakcję, ma bowiem przed sobą wszystko, czego pożąda. Być może, zrazu wypadnie nawet uruchomić peiotrony (pogarszacze warunków życiowych). Ponieważ jednak inwersyna działa na wszystkie doznania bez wyjątku, znienawidzone staną się też uciechy erotyczne, co zagrozi ludzkości wymarciem. Toteż raz do roku na 24 godziny będzie się czasowo porażało działanie inwersyny kontrpreparatem. W dniu tym nastąpi niechybnie gwałtowny skok samobójczych zamachów, lecz z nadwyżką okupi go zainicjowany jednocześnie przyrost naturalny.

Nie mogę powiedzieć, by mnie ten plan zachwycił. Jedynym jaśniejszym jego punktem był ten, który mówił, że projektodawca, jako należący do rzeczowidzów, niechybnie stale znajdowałby się pod działaniem antidotum, toteż ani powszechna nędza czy brzydota, ani brud czy monotonia życia na pewno nie sprawiłyby mu szczególnej uciechy. Drugi plan przewidywał rozpuszczenie w wodach rzecznych i oceanicznych 10 000 ton retrotemporyny. Jest to odwracacz upływu czasu subiektywnego. Odtąd życie przedstawiałoby się następująco: ludzie pojawiałyby się na świecie zgrzybiałymi starcami, a schodzili z niego jako noworodki. Projekt podkreślał, że w ten sposób usunęłoby się główny szkopuł kondycji ludzkiej, a mianowicie nieuchronną dla każdego perspektywę starzenia się i śmierci. W miarę upływu czasu każdy starzec młodniałby coraz bardziej, nabierając sił i wigoru. Po zaprzestaniu pracy zawodowej wskutek dzieciennienia wkraczałby w błogosławiony kraj lat dzieciennych. Clou projektu stanowiła jego humanitarność, wynikająca w sposób naturalny z owej niewiedzy o śmiertelności wszystkiego, co żywe, która jest właściwa niemowlęctwu. Co prawda — ponieważ odwrócenie biegu czasu było tylko subiektywne — do ogródków jordanowskich, żłobków i izb porodowych kierować należało

starców; projekt nie powiadał wyraźnie, co się ma z nimi dzieć potem, a jedynie zaznaczał ogólnikowo, że można poddawać ich odpowiedniej terapii w tak zwanym państwowym eutanazjum. Po tej lekturze poprzedni projekt wydał mi się wcale niezły.

Trzeci projekt był długodystansowy i daleko bardziej radykalny. Przewidywał ektogenezę, detaszizm i homikrię powszechną. Z człowieka pozostawiał tylko mózg w eleganckim opakowaniu z duroplastu, rodzaj globusa opatrzonego w sprzęgła, kontakty i wtyczki.

Postulował przejście w przemianie materii na energię jądrową, w związku z czym spożywanie pokarmów, cieleśnie zbędne, odbywałoby się wyłącznie w urojeniu odpowiednio programowanym. Globus mózgowy można by przyłączać do dowolnych kończyn, aparatów, maszyn, wehikułów itp.; ta detaszyzacja była rozłożona na dwie dekady. W pierwszej obowiązywałby detaszizm częściowy, z pozostawianiem w domu zbędnych narządów; np. udając się do teatru, odczepiałoby się i wieszalo w szafie układy kopolacyjne i defekacyjne. W następnej dziesięciolatce homikria miała zlikwidować powszechny tłok skutek przeludnienia. Kablowe i bezkablone kanały łączności międzymózgowej czyniłyby zbędnymi wszelką lokomocję, kursokonferencje, wyjazdy, narady połączone z podróżami, a więc wszelkie osobiste udawanie się gdziekolwiek, bo każdy żyjący dysponowałby w jednaki sposób czujnikami w całym obszarze panowania ludzkości, aż po najdalsze planety. Masowa produkcja miała dostarczyć na rynek jelitorów, manipulatorów, pedykulatorów oraz zwyczajnych torów, to jest szyn jakby kolejki domowej, po której same głowy mogłyby się toczyć dla rozrywki. Przerwawszy lekturę, zauważyłem, że autorzy prac są zapewne wariatami. Trottelreiner odparł oschle, że jestem zbyt pochopny w sądach. Piwo, którego się nawarzyło, trzeba wypić. Kryterium zdrowego rozsądku nie jest do historii ludzkiej stosowalne. Czy Averroes, Kant, Sokrates, Newton, Wolter uwierzyliby, że w wieku dwudziestym plagą miast, trucicielem płuc, masowym mordercą, przedmiotem kultu stanie się blaszany wózek na kółkach, i że ludzie będą woleli ginąć w nim roztrzaskiwani podczas masowych weekendowych wyjazdów aniżeli siedzieć cało w domu? Spytałem, który z projektów zamierza poprzeć.

— Jeszcze się nie zdecydowałem — rzekł. — Najcięższy jest, moim zdaniem, problem tajniąt — nielegalnie rodzonych dzieci. A poza tym obawiam się chemintrygowania w toku obrad.

— To znaczy?

— Może przejść projekt, który otrzyma wsparcie kredybilanowe.

— Myśli pan, że was tam podtrują?

— Czemu nie? Cóż łatwiejszego niż wpuścić aerozol na salę przez aparaturę klimatyzacyjną?

— Cokolwiek uchwalicie, nie musi być zaakceptowane przez ogół. Ludzie nie przyjmą wszystkiego biernie.

— Drogi panie, kultura od półwiecza nie rozwija się już żywiołowo. W XX wieku jakiś Dior dyktował modę odzieżową. Obecnie regulatywność ta objęła wszystkie dziedziny życia. Jeżeli detaszyzm przegłosują, za parę lat każdy będzie uważał posiadanie miękkiego, włochatego, pocącego się ciała za wstyd i nieprzyzwoitość. Ciało trzeba myć, odwaniać, pielęgnować, a i tak się psuje, kiedy przy detaszyzmie można sobie podłączać najpiękniejsze cuda sztuki inżynierskiej. Która kobieta nie zechce mieć srebrnych jodów zamiast oczu, wysuwających się teleskopowo piersi, anielskich skrzydeł, promieniujących łydek i pięt wydających przy każdym kroku melodyjne dźwięki?

— To wie pan co — rzekłem — uciekajmy. Zgromadzimy zapasy tlenu, żywności i zaszyjemy się w Górach Skalistych. Pamięta pan kanały Hiltona? Alboż nam w nich było złe?

— Pan to mówi serio? — jakby z wahaniem zaczął profesor.

Doprawdy nie z rozmysłu podniosłem do nosa fiolkę, którą wciąż trzymałem w palcach — bo zapomniałem o niej. Łzy wystąpiły mi od ostrej woni. Zacząłem kichać raz za razem, a gdy znów otworzyłem oczy, pokój się zmienił. Profesor mówił dalej, słyszałem jego głos, lecz zafascynowany przemianą nie pojmowałem ani słowa. Ściany powlekły się brudem; dotąd modre niebo nabrało burosinej barwy; część szyb okiennych była wybita, resztę pokrywał tłusty kopeć z szarymi smugami po strugach deszczu.

Nie wiem, czemu szczególnie przeraziło mnie to, że zgrabna aktówka, w której profesor przyniósł kongresowe materiały, stała się spleśniałym workiem. Zdrętwiały, bałem się na niego spojrzeć. Zerknąłem pod biurko. Zamiast sztuczkowych spodni i kamaszy profesorskich widniały tam swobodnie skrzyżowane protezy. Pomiędzy druciane ścięgna podeszew nabiło się nieco żwiru i brudu ulicznego. Stalowy trzpień pięty lśnił, wyslizgany od użycia. Jęknąłem.

— Co, głowa pana boli? Może kogutka? — dobiegł mnie współczujący głos. Przemogłem się i podniosłem nań oczy.

Niewiele zostało mu z twarzy. Do wyjedzonych policzków przykleiły się strzępy dawno

nie zmienianego, nadgniętego opatrunku. Oczywiście nosił dalej okulary — jedno szkiełko było nadpęknięte. Na szyi, w otworze po tracheotomii, tkwił dość niedbale wetknięty vocoder, ruszający się w takt głosu. Marynarka wisiała nadpleśniałym łańchem na stelażu piersiowym; z lewej strony wycięto w niej otwór, zatkany zmętniałą szybką plastikową — sinoszarym spazmem tłukło się tam jego serce w klamrach i szwach. Lewej ręki nie widziałem, prawa, trzymająca ołówek, była sproteżowana mosiądzem, pozieleniałym od grynszpanu. Do klapy przyfastrygowano mu niedbale płócienko, na którym ktoś napisał czerwonym tuszem: „Fryzak 119859/21 transpl. — 5 odrzuć.” Oczy wyszły mi na wierzch — profesor zaś, przejmując w siebie mój strach jak zwierciadło, zdrętwiał nagle za biurkiem.

— A co?... Czy tak się zmieniłem? Co? — przemówił ochryple.

Nie pamiętam, żebym wstawał, ale mocowałem się z klamką u drzwi.

— Tichy! Co pan? Ależ, Tichy! Tichy!!! — wołał rozpaczliwie, dźwigając się z trudem. Drzwi puściły, zarazem rozległ się przeraźliwy łomot. To profesor Trottelreiner, straciwszy równowagę od zbyt gwałtownego poruszenia, runął i rozpadał się na podłodze w kościanym chrzeście drutowanych zaczepów; uniosłem w oczach obraz jego rozpaczliwych wierzgnięć, z wiórującymi parkiet kikutami gwoździastych pięt, z szarym workiem serca tłukącego się za porysowaną szybką. Uciekałem korytarzem jak goniony przez furie.

Rojno było w całym gmachu, bo trafiłem na porę lunchu. Z biur wychodzili urzędnicy i sekretarki i gwarząc kierowali się ku window. Wmieszałem się w tłum przy otwartych drzwiach dźwigu, ale że jakoś nie nadjeżdżał, zajrzałem do szybu i zrozumiałem, czemu zadyszka była zjawiskiem tak powszechnym. Koniec dawno urwanej liny wisiał luźno, a po pionowych siatkach, ogradzających szyb, leźli wszyscy z małą zręcznością, dowodzącą długiej wprawy; wspinali się do kawiarni na dachu, konwersując pogodnie mimo kroplistego potu zraszającego czoła. Nieznacznie wycofałem się i pobiegłem schodami na dół, spiralami stopni okalających szyb z cierpliwymi wspinaczami. Kilka pięter niżej zwolniłem. Wysypywali się wciąż ze wszystkich drzwi. Były tu niemal same biura. W załomie murów jaśniało otwarte okno, wychodzące na ulicę. Stałem przy nim, udając, że poprawiam ubranie, i spojrzałem w dół. Zrazu wydało mi się, że w tłumie na chodnikach nie ma ani żywej duszy, ale tylko nie poznałem przechodniów. Ulotniła się powszechna elegancja. Szli pojedynczo, parami, w dziurawych łańkach, wielu w bandażach, przewiązkach papierowych, w jednych koszulach, co pozwalało stwierdzić, że istotnie są plamiści i oszczeciniali, zwłaszcza na grzbietach. Niektórych

wypuszczono widać ze szpitali dla załatwienia co pilniejszych spraw; beznodzy toczyli się na deseczkach z małymi kółkami, w gwarze rozmów i śmiechu; widziałem słoniowate sfałdowane uszy pań, rogaciznę panów, stare gazety, wiechcie słomy i worki noszone z szykiem i gracją; co zdrowsi, lepiej zachowani biegli jezdnią wyciągniętym cwałem, markując zadzieranymi skocznie stopami zmianę biegów. Dominowały w tłumie roboty z dyfuzerami, dozymetrami i opryskiwaczami. Dbały o to, by każdy dostał swą porcję aerozolowej mgielki. Nie ograniczały się do tego; za młodą parą, splecioną ramionami — ona miała plecy w łuskach, on w wykwitach — stapał ciężko cyfrun i lejkiem dyfuzera metodycznie obtłukiwał głowy zakochanych. Choć im zęby dzwoniły, nie przyjmowali tego do wiadomości. Czy robił to umyślnie? Ale nie byłem już zdolny do refleksji. Ściskając w ręku framugę, patrzałem w perspektywę ulicy, z jej ruchem, cwałem, krzepą, jako jedyny świadek, jedyna para oczu widzących — czy na pewno jedyna para oczu widzących — czy na pewno jedyna? Okrucieństwo tego spektaklu zdawało się domagać innego obserwatora, jego twórcy, bo, nie ujmując niczego tym rodzajowym scenkom, nadawałby im sens jako patron błogiego strupieszenia, więc makabryczny — ale jakiś. Mały pucybunter, cymberdając się przy nogach energicznej staruszki, wciąż podcinał jej kolana, waliła się jak długa, wstawała i szła dalej, obalił ją znowu i tak znikli mi z oczu, on mechanicznie uparty, ona żwawa i pewna siebie. Wiele robotów zaglądało ludziom z bliska w zęby, może dla sprawdzenia efektu natrysków, ale nie tak to wyglądało. Na rogach stało sporo uchylców i nierobotów, z jakiejś bocznej bramy waliły po szychcie pracery, pracuchy, kretyngi, mikroboty, jezdnią sunął ogromny komposter, unosząc na ostrodze swego pługa co popadło, razem z trupcami wrzucił do pojemnika staruszkę; zagryzłem palce, zapomniawszy, że trzymam w nich drugą, nie tkniętą jeszcze fiolkę, i gardło spalił mi żywy ogień. Otoczenie zadrzało, objęła je jasna mgła — bielmo, które niewidzialna dłoń powoli zdejmowała mi z oczu. Patrzałem, stężały, na zachodzącą przemianę, już domyślając się w potwornym skurczu przeczucia, że teraz rzeczywistość złuszczy z siebie następną warstwę — widać to jej fałszowanie szło od niepamiętnych czasów, tak że potężniejszy środek mógł tylko zedrzeć więcej zasłon, dotrzeć do głębszych, ale nic nadto. Zrobiło się jaśniej — biało. Śnieg leżał na trotuarach, zlodowaciały, ubity setkami nóg, koloryt ulicy stał się zimowy, zarazem znikły wystawy sklepów, zamiast szyb — wszędzie przegniłe, na krzyż zbite deski. Zima panowała między brudnymi murami w zaciekach, z nadproży, lamp zwisały festony śliskich sopli, w ostrym powietrzu był swąd gorzki, sinawy jak niebo w górze, przyzmy brudnego śniegu pod ścianami, sterczały z nich kłęby śmieci, tu i tam czerniały jakby

duże tłumoki, kupy szmat, bezustanna fala ruchu pieszego popychała je, skopywała na boki, między zardzewiałe pojemniki, puszki, trociny zlodowaciałe, śnieg nie padał, ale widać było, że sypał i znów sypnie; nagle pojawiłem, kto znikł z ulicy: roboty. Nie było ani jednego — ani jedniusięńskiego! Ich ośnieżone kadłuby walały się pod kamienicami, zamarłe, żelazne gruchoty w towarzystwie łachów ludzkich, szmat, spod których wystawały żółtawe oszronione kości; jakiś obdartus siadał właśnie na stercie śniegu, moszcząc się niczym w puchowej pościeli, widziałem jego zadowoloną minę, czułem się jak u siebie w domu, sam w łóżku, wyciągnął nogi, grzebał bosymi w śniegu, więc to był ten ziąb, ta dziwaczna rzeźwość, jakby z daleka nadchodząca od czasu do czasu nawet w środku ulicy, w samo południe słoneczne — już się ułożył do długiego snu — więc tak to było. Ludzkie mrowie mijalo go obojętnie, przechodnie zajmowali się sami sobą — jedni opylali drugich, można było rychło rozpoznać po zachowaniu, kto się miał za człowieka, a kto za robota. Więc i roboty udawali? I skąd ta zima w środku lata — czy zwidem był cały kalendarz? Ale po co? Lodowy sen jako demograficzne antidotum? Więc ktoś jednak uważnie to planował i ja miałbym szczeznąć, nie dotarłszy do niego? Wodziłem teraz oczami po sparszywiałyach ścianach drapaczy z powybijanymi oknami, za mną było cicho: skończył się lunch. Ulica — to był kres, moje widzące oczy nie miały zbawiennej wartości, utonąłbym w tym tłumie, a potrzebowałem kogoś, sam mogłem się najwyżej ukrywać przez jakiś czas jak szczur, byłem już poza nawiasem zwidu, więc na pustyni, ze strachem i rozpaczą cofnąłem się od okna, czując, niestety, mróz całym ciałem, bo już nie osłaniała mnie przed nim złuda słonecznego klimatu. Sam nie pojmowałem, dokąd idę, starając się; stapać cicho; tak, już ukrywałem własną obecność, to przygarbienie, skulenie, szybkie spojrzenia na boki, przystawanie, nasłuchiwanie — podpowiedział mi odruch, zanim powziąłem jeszcze jakąkolwiek decyzję, ale też czułem do szpiku kości, że widać po mnie, co widzę, i że to nie może mi ująć bezkarnie. Szedłem korytarzem szóstego czy piątego piętra, do Trottelnreinerera nie mogłem wrócić, potrzebował pomocy, której i tak nie mógłbym mu dać, myślałem gorączkowo o kilku rzeczach naraz, ale najpierw o tym, czy wpływ środka ustanie i znajdę się na powrót w Arkadii. Zadziwiająca rzecz, oprócz wstępu i strachu nie czułem — wobec tej perspektywy — nic więcej, jak gdybym wolał zamarznąć w stercie śmiecia, z wiedzą, że tak jest, aniżeli zawdzięczać ukojenie zwidom. Nie mogłem wejść w boczny korytarz, bo drogę zagradzało ciało jakiegoś starca, któremu zbrakło sił, by iść, więc markował chód drgającymi nogami i cichutko rżąc uśmiechał się do mnie towarzysko ze swej agonii. Więc w drugi boczny korytarz — aż do matowych szyb jakiegoś



biura. Za nimi panowała zupełna cisza. Wszedłem, wahadłowe odrzwia zakołysały się, była to hala maszyn do pisania — pusta. W głębi — uchylone następne drzwi. Zajrzałem tam, do jasnego, dużego pokoju, chciałem umknąć, bo ktoś w nim był, lecz odezwał się znajomy głos:

— Proszę wejść, Tichy.

Wszedłem więc. Nie zdziwiłem się nawet szczególnie, że tak się odezwał, jakby czekał na mnie; przyjąłem spokojnie i to, że za biurkiem siedział imię George Symington, w szarym flanelowym ubraniu, z włochatym fularem na szyi, w ustach miał cienkie cigarrillo, na twarzy — czarne okulary, i zdawał się patrzeć na mnie ni to pobłaźliwie, ni to z żalem.

— Proszę usiąść — rzekł — bo to chwilę potrwa.

Usiadłem. Pokój, z całymi szybami, był oazą schludności i ciepła w powszechnym zapuszczeniu, ani śladu lodowatych przeciągów, nawianego śniegu, tacka, dymiąca czarna kawa, popielniczka, dyktafon, nad jego głową wisiało na ścianie kilka barwnych aktów kobiecych. Zaskoczyło mnie bezsensowne raczej skojarzenie, że tych ciał na fotografii nie pokrywał żaden liszaj.

— Doigrał się pan! — rzekł dosadnie. — A przy tym nie może się pan skarżyć! Najlepsza pielęgniarka, jedyny rzeczowidz w całym stanie, wszyscy starali się pomóc panu, ale cóż? Pan chciał się dodłubać „prawdy” na własną rękę!

— Ja? — powiedziałem oszołomiony jego słowami, a nim zebrałem myśli, nim je dostroiłem do jego słów, napadł:

— Proszę tylko nie łąć. Za późno na to. Zdawało się panu, że jest pan niesłychanie przebiegły, obnosząc się z tymi swoimi skargami i podejrzeniami o „halucynację”! „Kanał”, „szczury hotelowe”, „dosiadać”, „kulbaczyć”. I takimi prymitywnymi wymysłami chciał się pan posłużyć, sądził pan, że one wystarczą? Tylko defryzak może być aż tak głupi!

Słuchałem go z na pół otwartymi ustami. Pojąłem błyskawicznie, że wszelkie zaprzeczanie będzie daremne, bo i tak mi nie uwierzy. Brał moje autentyczne obsesje za celowy manewr! A więc i ta rozmowa ze mną, w której wyjawiał tajemnice „Procrustics Inc.”, nie służyła niczemu innemu, jak tylko pociągnięciu mnie za język, po to używał tych słów, które tak okrutnie wówczas mnie zaskoczyły, może sądził, że to jakieś hasła wtajemniczenia — w co, w spiszek przeciwchemiczny? Prywatny mój lęk przed halucynacją wziął za pociągnięcie taktyczne... Istotnie za późno było, by mu to tłumaczyć — teraz zwłaszcza, gdy karty leżały odkryte.

— Pan tu na mnie czekał? — spytałem.

— A jakże. Razem z całą swoją przedsiębiorczością był pan przez cały czas prowadzony jak na sznurku. Nie możemy sobie pozwolić na to, by nieodpowiedzialna kontestacja zagroziła panującemu porządkowi.

Starzec konający w korytarzu — przemknęło mi. — On też był częścią zagrożeń, które mnie tu doprowadziły...

— Niezły ten porządek — powiedziałem. — A jego szef to pan, co? Gratuluję.

— Docinki proszę zachować na lepszą okazję! — odwarknął.

Udało mi się go dotknąć. Był zły.

— Przez cały czas szukał pan „źródeł demonizmu”, mój defryzoniu, moja zeszlowieczna mrozonko... Otóż nie ma ich. Zaspokajam pańską ciekawość. Nie istnieją, rozumie pan? Dajemy cywilizacji narkozę, bo inaczej by siebie nie zniosła. Dlatego nie wolno jej budzić. Dlatego i pan do niej wróci. Nie grozi panu nic — to przecież jest nie tylko bezbolesne, ale miłe. Nam jest znacznie trudniej, bo musimy zachować trzeźwość dla waszego dobra.

— To pan z poświęcenia tak? — rzekłem. — Rozumiem, zapewne, ofiara złożona na rzecz ogółu.

— Jeżeli pan ceni straszliwą wolność umysłu — odparł oschle — to radzę nie szydzić, powściągnąć głupie docinki, bo dzięki nim tylko szybciej pan ją straci.

— Więc pan ma mi coś jeszcze do powiedzenia? Słucham.

— W tej chwili jestem jedynym oprócz pana człowiekiem w całym stanie, który widzi! Co mam na twarzy? — dorzucił szybko, podchwytliwie.

— Ciemne okulary.

— A więc widzi pan to samo, co ja! — rzekł. — Chemik, który dostarczył Trottelreinerowi środków, już wrócił na łono społeczeństwa i nie żywi żadnych wątpliwości. Nikt nie może ich mieć — czy pan tego nie pojmuje?

— Zaraz — rzekłem. — Wygląda mi na to, że panu naprawdę zależy na przekonaniu mnie. To dziwne. Właściwie — czemu?

— Bo żaden rzeczowidz nie jest demonem! — odparł. — Jesteśmy zniewoleni stanem rzeczy. Zagnał nas w kąt. Gramy takimi kartami, jakie nam społeczny los wcisnął w ręce. Przynosimy spokój, pogodę i ulgę jedynym zachowanym sposobem. Utrzymujemy na skraju równowagi to, co bez nas runęłoby w agonię powszechną. Jesteśmy ostatnim Atlasem tego

świata. Chodzi o to, że jeżeli już musi ginąć, niechaj nie cierpi. Jeżeli nie można odmienić prawdy, trzeba ją zasłonić, to ostatni jeszcze humanitarny, jeszcze ludzki obowiązek.

— A więc już na pewno nie da się nic zmienić? — spytałem.

— Mamy rok 2098 — rzeki. — 69 miliardów żyjących legalnie i zapewne koło 26 miliardów zatajonych. Średnia temperatura roczna spadła o cztery stopnie; za piętnaście, dwadzieścia lat będzie tu lodowiec. Nie możemy zapobiec zlodowaceniu; nie możemy do niego nie dopuścić — możemy je tylko zakryć.

— Zawsze uważałem, że w piekle musi być mróz — rzekłem. — Więc malujecie drzwi do niego w ładne wzorki?

— Właśnie tak — powiedział. — Jesteśmy ostatnimi Samarytanami. Ktoś musiał, z tego miejsca, mówić do pana — przez przypadek ja jestem tym człowiekiem.

— Przypominam sobie: ecce Homo! — powiedziałem. — Ale... zaraz... pojmuję, o co panu chodzi. Pan chce mnie przekonać do swej funkcji — eschatologicznego narkotyzera. Kiedy już nie ma chleba — narkoza cierpiącym. Tylko nie wiem, po co panu moje nawrócenie, skoro i tak mam o nim zaraz zapomnieć? Jeżeli środki, których pan używa, są dobre, dlaczego wysiła się pan na rozumowe argumenty? Jeżeli są dobre, parę kropel kredybilanu, jedno chluśnięcie w oczy i z entuzjazmem zaakceptuję każde pana słowo, będę pana szanował i czczył. Widocznie pan sam nie jest przeświadczony o wartości takiego leczenia, jeżeli pociąga pana zwyczajne staroświeckie gadanie, rzucanie słów na wiatr, jeżeli zadowala pana rozmowa zamiast sięgnięcia po dyfuzer! Widać wie pan doskonale, że psychiczne zwycięstwo jest zwykłym oszustwem, że pozostanie pan sam na placu jako triumfator ze zgagą. Pan chce mnie najpierw przekonać, a potem wepchnąć w niepamięć, ale to się panu nie uda. Powieś się pan na swej szlachetnej misji, razem z tymi dziwkami, których fotosy uprzyjemniają panu zbawicielską robotę.. Potrzebuje pan jednak autentycznych, bez szczeciny, co?

Twarz wykręcił mu skurcz wściekłości. Zerwał się, wołając:

— Mam inne środki prócz arkadyjskich! Są i piekła chemiczne!

I ja wstałem. Sięgnął do przycisku na biurku, kiedy krzyknąłem: — Pójdziemy tam razem! — Skoczyłem mu do gardła: Impet cisnął nas — jakem chciał — ku otwartemu oknu. Zatupotały kroki, twarde garście usiłowały odepchnąć mnie od niego, wił się, kopał, ale już u parapetu, przegiąwszy go w tył, zebrałem ostatnie siły i skoczyłem; zaświszczało w uszach, koziołkowaliśmy szczepieni, wirujący lej ulicy rósł — przygotowałem się na miażdżący cios, a

uderzenie przyszło tymczasem miękkie, bluznęły czarne nurty, cuchnąca, najdroższa topiel zamknęła się nad moją głową — i na powrót się otworzyła. Wynurzyłem się pośrodku kanału, ocierając oczy, z intensywnym smakiem pomyj w ustach, ale szczęśliwy, szczęśliwy! Profesor Trottelreiner, wyrwany z drzemki mymi potępieńczymi wrzaskami, pochylał się nad tonią i podawał mi z brzegu — jak bratnią dłoń — rączkę ciasno zwiniętego parasola. Odgłosy bombardowania ucichały. Dyrekcja Hiltona spała pokotem na nadmuchiwanym fotelach (stąd nadymanki!), a sekretarki zachowywały się wyzywająco przez sen. Jim Stantor chrapiąc przewracał się z boku na bok i przydusił szczura, który wyskubywał mu czekoladę z kieszeni; obaj się przestraszyli. Profesor Dringenbaum, metodyczny Szwajcar, kucając u ściany, w pożółkłym świetle latarki poprawiał wiecznym piórem swój referat. Uzmysłowiwszy sobie, że ta skupiona czynność zwiastuje początek obrad drugiego dnia Kongresu Futurologicznego, wybuchnąłem takim śmiechem, że maszynopis wypadł mu z palców, chlupnął w czarną wodę i odpłynął — w niezbadaną przyszłość.

Listopad 1970